

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 30 sierpnia 1913. Nr. 35.

Katastrofa w austryackim porcie wojennym.



Katastrofa w austryackim porcie wojennym.

(Do illustracyi tytułowej).

Na polu ćwiczeń austryackiej marynarki wojennej, znajdującem się na wąskim półwyspie koło miasta portowego Pola, odbywało się przed kilku dniami próbne strzelanie z działa okrętowego wielkiego kalibru do płyt pancernych, przeznaczonych do dreadnoughtów. Działo pochodziło ze znanej fabryki Skody w Czechach i od trzech lat już było w użyciu. Kaliber miało 30$^1/_2$ centymetrów, długość lufy wynosiła około 14 metrów, a waga działa przeszło 54.000 klgr. Strzelano ostym nabojem, składającym się ze 138 klgr. prochu i pocisku, ważącego 450 klgr.

Nagle przy drugim strzale nastąpił wybuch. Pocisk wyleciał wprawdzie z lufy, ale jednocześnie została wyrwana podstawa lufy razem z przyrządem do zamykania, ważącym 1200 klgr. Co było przyczyną eksplozyi, śledztwo dotąd nie wykryło, istnieje przypuszczenie, że zepsuty proch.

Skutki wybuchu były straszne. Trzej żołnierze z obsługi działa padli trupem na miejscu, dwaj robotnicy cywilni odnieśli ciężkie rany, stojącemu zaś niedaleko wiceadmirałowi Lanniusowi von Wellenburg kawałek oderwanego zamku strzaskał oba kolana. Odwieziono go natychmiast do szpitala w Poli i dokonano amputacyi obu nóg, poczem niedługo admirał zakończył życie. Lekko rannych zostało kilka osób, między innymi obecny przy próbach inżynier fabryki „Skoda“ Sill.

Obaj ciężko ranni mają straszliwe szarpane rany. Ciała zaś zabitych żołnierzy przedstawiały się jak nieforemne krwawe masy. Zwłokami jednego z nich wybuch z taką siłą uderzył o działo, że szczątki jego zwisały z armaty, jak krwawe strzępy.

Nasza tytułowa illustracya przedstawia ten straszliwy moment wybuchu.

Odnowienie wieży Maryackiej.

Ozdoba zewnętrzna przepięknej świątyni Maryackiej, wieża wyższa, została już w zupełności odnowioną. Najpierw odbyła się uroczystość założenia



Adres dzieci polskich do dzieci irlandzkich: Adres dzieci irlandzkich, przechowywany w Muzem ks. Czartoryskich w Krakowie.

złotej bani i chorągiewki na szczycie wieży. W tych dniach zaś wyciągniętą została na szczyt wieży najpiękniejsza jej ozdoba, mianowicie wspaniała stylowa korona, oraz ośm chorągiewek i szesnaście kul dla wieńca wieżyczek. Zdobiąca wieżę bania ma średnicy 90 cm. i jest zrobiona z blachy miedzianej. Górna jej połowa jest złocona w ogniu, prawdopodobnie około roku 1843. Dolna część obecnie pozłoconą została płatkowo. W dolnej półkuli znajdują się dwa otwory, pochodzące z uszkodzenia kulami karabinowemi z r. 1848, w czasie bombardowania Krakowa przez austryackie wojska z Wawelu.

Umieszczona poniżej wspaniała korona ma średnicy 3 i pół metra, wysokości 1 metr 30 cm.; jest ośmioboczna, (stosownie do kształtu górnej części wieży) i wykonana z miedzi. Długość jednego boku wynosi dołem przeszło metr, górą zaś 1 m. 40 cm. Została ona odnowioną i sposobem płatkowym wyzłoconą.

Do odnowionej bani włożono ołowianą puszkę, znalezioną przy jej zdjęciu z dokumentem z lat poprzednich; włożono też drugą, nową z aktem pamiątkowym na pergaminie, streszczającym historyę obecnej restauracyi, opatrzonym podpisami prezydenta miasta dra Lea, wiceprezydentów Szarskiego i Sarego, delegata Rady miejskiej dr. Bandrowskiego, konserwatorów i przedsiębiorców odnowienia wieży.

Złożony w bani dokument pamiątkowy zaczyna się od tradycyjnego wstępu, wymieniającego rządzące Kościołem, państwem, krajem i miastem osoby, podaje dalej historyę restauracyi kościoła, skład odnośnego komitetu, oraz grono fachowców, prowadzących roboty.

Przy restauracyi roboty budowlano-murarskie prowadzi inż. Władysław Grabowski, kamieniarskie p. Józef Podgórski, blacharskie p. Wł. Kosydarski, brązowniczo-ślusarskie p. Henryk Sztorc, pozłotnicze p. Zygmunt Wałaszek, wodociągowe — Zakład miejski.

Akt kończy się następującym ustępem:

„Przy powyższych robotach, które do tej chwili jeszcze nie są ukończone, lecz w niedługim czasie mają być do kresu doprowadzone, baczono pilnie, by nie naruszyć kształtów, starożytnych cech, właściwości i wyglądu budynku, jakie do naszego czasu się dochowały, ale wiernie przekazać je następnym pokoleniom. Gdzie tylko można było, zachowano stary materyał, choćby nawet nieco uszkodzony. Gdzie to było niemożliwe, przestrzegano, by części dawne zastąpić nowemi tego samego kształtu, powierzchni, barwy i rodzaju“.

Opisano też w tym akcie pamiątkowym ową burzę, jaka nawiedziła Kraków w dniu 9 lipca roku



Adres dzieci polskich do dzieci irlandzkich: M. S. Leslie, inicyator adresu irlandzkiego do dzieci polskich.

zeszłego i wypadek zapalenia się wieży Maryackiej, spowodowany piorunem, oraz jej szczęśliwe uratowanie.

„Tak, przy pomocy Bożej ugaszono w zarodku pierwszy ogień — mówi akt — jaki wedle wiadomości ludzkiej, nawiedził tę wieżę i kościół Maryacki z nią połączony, odkąd one istnieją. Oby to szczęśliwe zażegnanie niebezpieczeństwa było dobrą wróżbą na przyszłość. Zmiłowanie Boże, które od samego początku przez długie wieki otaczało opieką Opatrzności tę sławną wieżę i Przeczysta Bogarodzica Najświętsza Marya Panna, Królowa Korony Polskiej, pod której wezwaniem ten Kościół wzniesiono, niechaj i nadal odwracają odeń wszelkie nie-



Odnowienie wieży Maryackiej: Kościół N. P. Maryi w Krakowie z odnowioną na szczycie wieży koroną, banią i złotemi kulami.

szczęścia, niechaj chronią od klęsk to miasto, kraj i cały naród. Niechaj ta wieża, chluba i godło starej stolicy, w jak najdalsze lata dźwiga dumnie w obłoki swoją wspaniałą głowę i jak niegdyś była świadkiem pomyślności Krakowa i Polski, tak niechaj doczeka się kiedyś lepszej, niż dzisiejsza, doli naszej ukochanej Ojczyzny".

Adres dzieci polskich do dzieci irlandzkich.

W roku jubileuszowym grunwaldzkim, w samą prawie uroczystość, przywieziono do Krakowa adres dzieci irlandzkich, opatrzony 20 tysiącami podpisów z wyrazami podziwu dla dzieci wrzesińskich, solidarności i zachęty do dalszego wytrwania w walce o język i ziemię ojczystą w Poznańskiem. Rzecz prosta, że adres ten nie mógł być doręczony dzieciom wrzesińskim, w zastępstwie więc prześladowanych przyjęły go dzieci krakowskie i tu też spoczywa w Muzeum ks. Czartoryskich.

Fakt tak bardzo doniosły dla naszego społeczeństwa minąłby prawie niespostrzeżenie, gdyby nie Koło męskie „Straży Polskiej", które na wniosek inż Magnuskiego zajęło się zredagowaniem odpowiedzi do dzieci irlandzkich. Komitet, w skład którego wchodzili pp. J. Bartoszewicz, Wł. Magnuski, Wł. Stróżyński i A. Trzetrzewiński, wywiązał się pięknie z poleconego zadania. Trudu wiele poniósł, przeszkód zwalczył niemało, nim rzecz doprowadził do końca, ale też tem większa jego zasługa.

Adres, który wystawiony będzie dla publiczności na wystawie Związku malarzy w „Oleandrach", potem w jednym z lokalów Stowarzyszenia, zawiera przeszło 15 tysięcy podpisów dzieci krakowskich i stanowi wielką, wspaniale oprawną księgę.

Projekt na oprawę dał bezinteresownie artysta malarz Fr. Turek. Akwarelę, rozpoczynającą tekst, wykonał również bezinteresownie prof. W. Wodzinowski. Wykonaniem oprawy zajmował się Wł. A. Stróżyński, a oprawiał introligator Ł. Kruczkowski. Tekst w trzech językach: irlandzkim, angielskim i polskim przepisał niezwykle pięknie p. A. Motyka.

Tekst ten brzmi, jak następuje:

„Dzieci szkolne Krakowa, starożytnej stolicy Polski, dowiedziawszy się o słowach otuchy, przesłanych ich prześladowanym braciom i siostrom w Prusiech, przez dzieci hrabstwa Monaghan w Irlandyi, odpowiadają za tych, do których owe słowa były zwrócone, a którym ich wrogowie za siebie odpowiedzieć nie pozwalają.

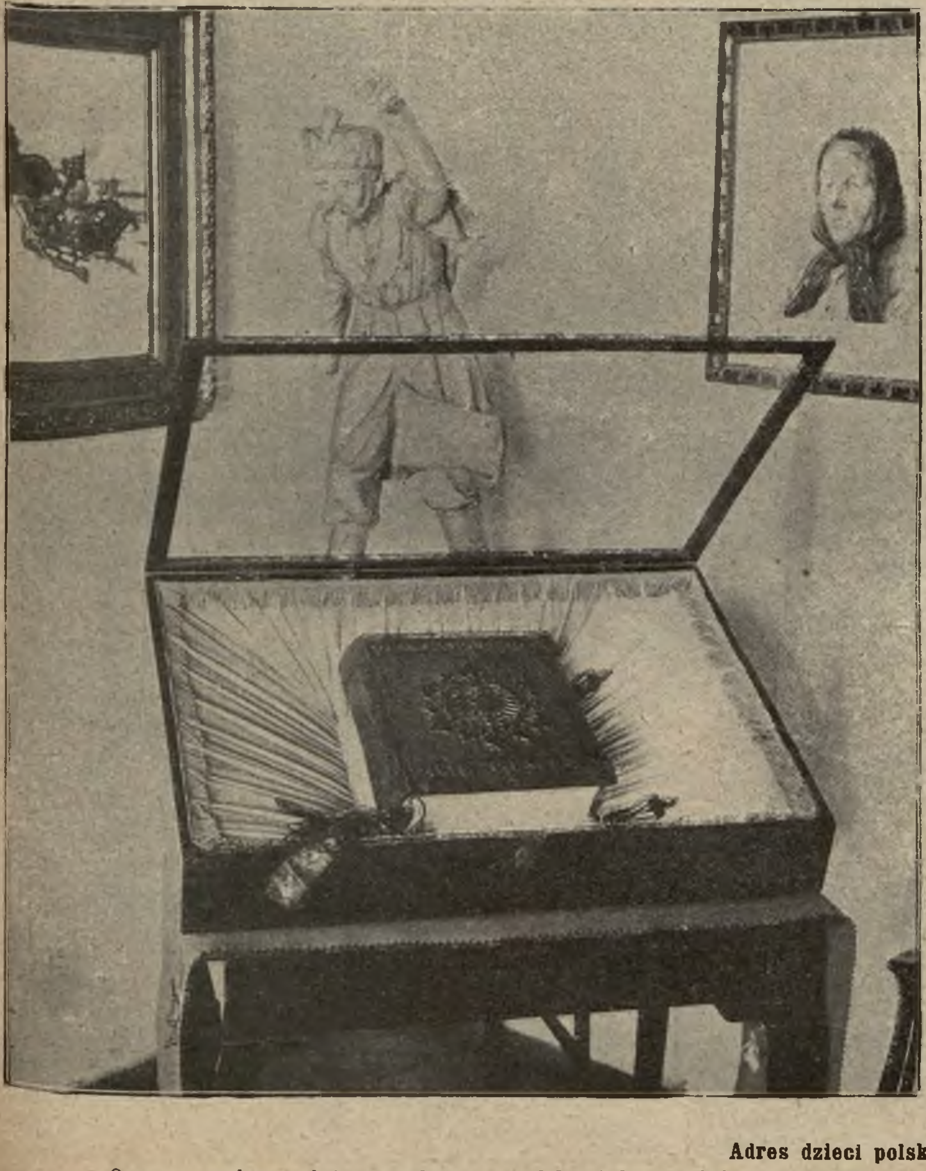
„Dziękujemy Wam za serdeczne Wasze współczucie z cierpieniami dzieci polskich. Doda ono im i ich rodzicom siły i odwagi do zniesienia nowych napaści rządu pruskiego, w tym właśnie roku skierowanych przeciw ich językowi i ojczyźnie.

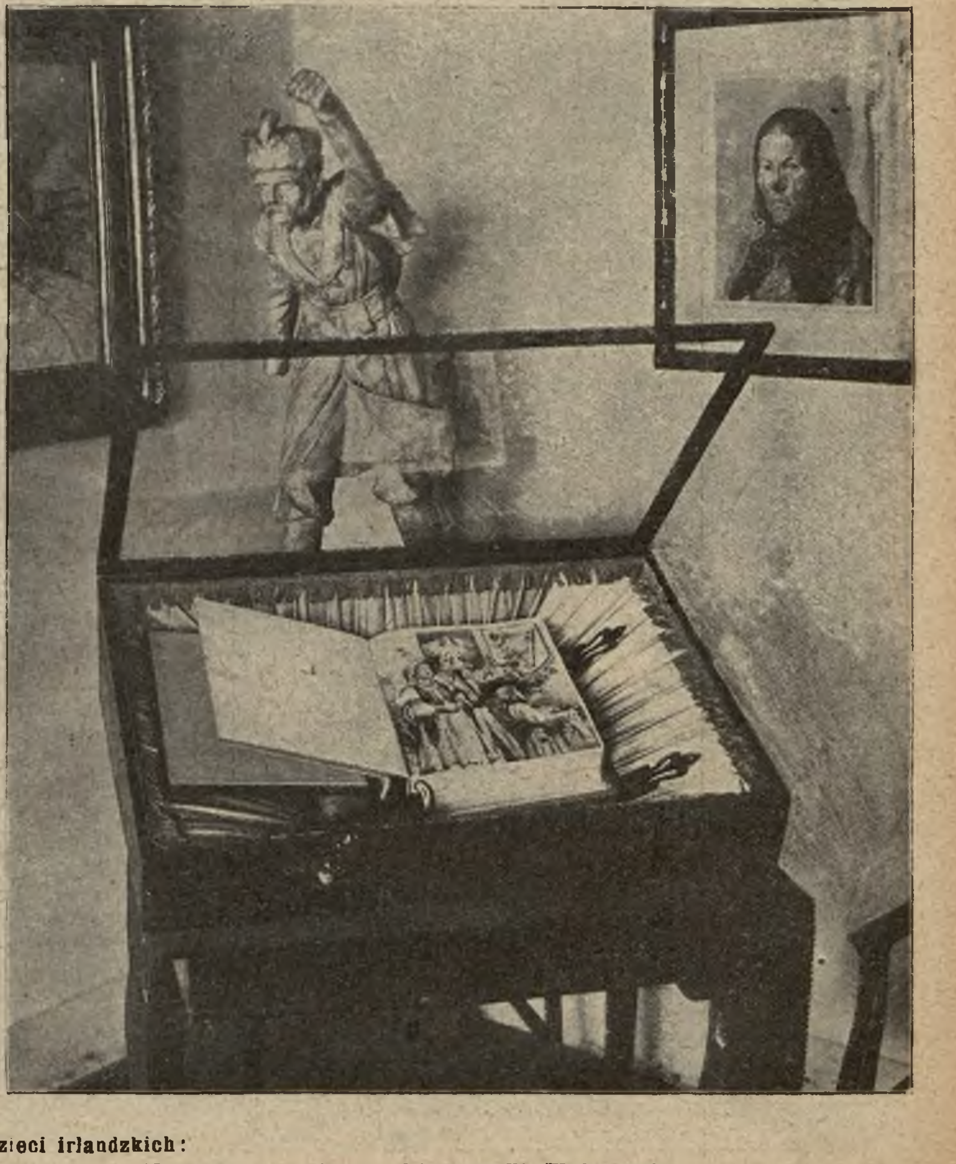
„Obyście nigdy nie przestali cieszyć się błogosławieństwami swobody w użyciu mowy Waszych ojców i bezpieczeństwa w posiadaniu ziemi, którą oni uprawiali w pocie czoła; — oby Wam nigdy obu tych dóbr okrutnie nie wydarto, jak naszym ziomkom w Prusiech.

„Wolności i szczęścia na zawsze życzymy Irlandyi".



Walka o Adryanopol: Enver bey (X) w Adryanopolu.





Adres dzieci polskich do dzieci irlandzkich:

Oprawna w drzewo księga z adresem i podpisami dzieci szkół krakowskich. Karta tytułowa adresu pędzla prof. W. Wodzinowskiego.



Nauczycielstwo ludowe podczas wakacyi: Nauczycielski oddział rezerwistów we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Należy jeszcze zaznaczyć, że w pracy około założenia adresu komitetowi z całą życzliwością udzielały rad, wskazówek i pomocy następujące osoby: Prof. R. Dyboski, dyr. K. Drozdowski, p. H. Kownacka, Władysław Mickiewicz (Paryż), p. Pace (Londyn), dziekan wydziału fiil. prof. dr. Jan Rozwadowski, prof. J. Rostafiński i inni.

Zamieszczając w dzisiejszym numerze fotografię adresu dziatwy polskiej do dzieci irlandzkich, nie możemy pominąć tu osoby p. Shane Leslie, który był inicyatorem przesłanego dziatwie polskiej adresu irlandzkiego.

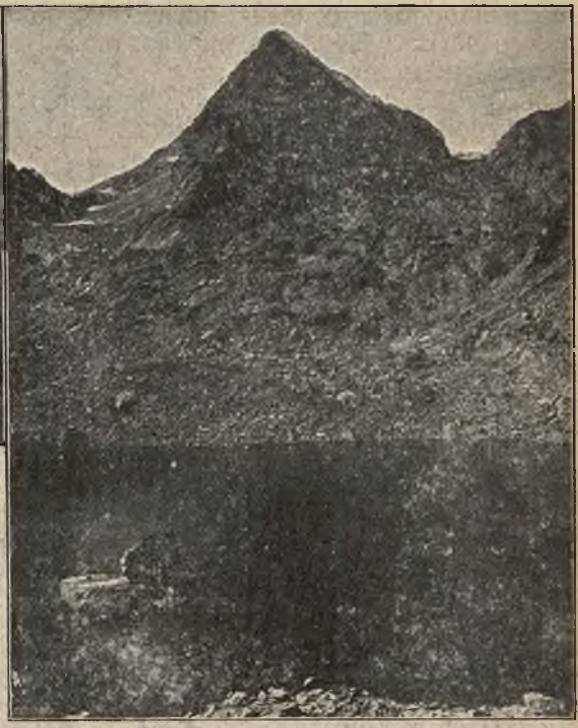
Syn pułkownika armii angielskiej, urodzony w r. 1885, p. Leslie jest autorem wielu dzieł i znanym działaczem społecznym. Wszędzie manifestuje on swą ogromną życzliwość dla Polaków i z godnym podziwu zapałem zajmował się zbieraniem podpisów na adresie... W dzisiejszym numerze zamieszczamy też podobiznę tego przyjaciela Polaków.



Nauczycielstwo ludowe podczas wakacyi: Uczestnicy, uczestniczki i kierownicy kursów wakacyjnych we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

27

— Bądźże rozsądną, dobrze mi z tobą, a ty mi chcesz zrobić wielką przykrość, wyprowadzając się.

— Ależ zostanę, jak długo zechce pani, ja nikomu nie chcę sprawiać przykrości, cóż dopiero drogiej pani, tak dobrej i słodkiej.

— Dorciu, bez pochwał, — upomniała. — Jakże ci się podobało tutaj w zakładzie?

— Bardzo przyjemnie, nie słyszy się o gospodarstwie, wydatkach, oszczędnościach... jestem swobodna, jak ptak.

— I chciałabyś fruwać i śpiewać?

— To nie, bo nie mam ani skrzydeł, ani głosu, ale tak mi dobrze, jak gdybym przeżywała bajkę, — mówiła z rozjaśnioną twarzą.

— Jaką?

— Był sobie pałac, nie pałac wśród olbrzymich gór, — wskazała na Tatry, — i czarnych borów, a w nim cud-królewna ze swoim dworem, — patrzała z uśmiechem na panią Wandę, — ona była cud-pięknością, z oczami szafirowemi i włosami z błyskami złota...

— No, Dorciu, dosyć o tej królewnie, opowiadaj dalej.

— I cały dwór za jej przykładem był dobry, miły, szlachetny. I damy piękne i rycerze bez skazy i trwogi...

— Dorciu, czy już jaki rycerz zdobył twe serduszko? — zaśmiała się.

— U mnie każdy rycerz kocha się tylko w cud-królewnie, i tak jest nie tylko w bajce.

— A wiesz, Dorciu, twoja bajka, jak każda bajka, mówi nieprawdę.

— O, nie! Ja przecież mam oczy; i wie pani, — zwierzała się, — ja nie potrzebuję nawet patrzeć, wystarczy, ażebym była w pobliżu i zaraz odczuwam te prądy sympatyczne, łączące dwie osoby zakochane.

— Co za dar nadzwyczajny, — zaśmiała się, — a wiesz, Dorciu, skąd pochodzi?

— Ja myślę, że to taka wrażliwość, może nawet chorobliwa.

— A tak, tę chorobę każda dziewczyna przechodzi, — mówiła wesoło, — po prostu chcesz kochać i być kochaną i w tym kierunku jesteś bardzo wrażliwa.

— Ale co znowu! — zarumieniła się, — jak mamusię kocham, nie myślę o żadnych romansach.

— Wierzę ci, ale przyznaj się, kochałaś już?

— Nie! — sponsowiała.

— A podobał ci się ktoś bardziej od innych?

— Pani taka dobra i ładna, że wyznam szczerą prawdę. Raz podobał mi się jeden pan...

— Ładny? Miły?

— Nie był ładny, żartem nazywano go nawet Satyrem, ale dobry był, wesoły i dowcipny.

— No i co?

— Ale tak się droczył ze mną, tak mi dokuczał, że przestał mi się podobać.

— I nikt więcej, Dorciu?

— Prawie nikt... chyba tacy, że dziś mi się podobał, a jutro zapomniałam o nim, ale tacy się nie liczą.

— Naturalnie, że nie, a ponieważ się nie kochasz, masz ten dar odgadywania względem zakochanych. A kto tu się kocha? — uśmiechnęła się.

— Tu?... Wie pani, ta ładna, zgrabna brunetka... dzisiaj miała jedwabną bluzkę, bordo, przybraną koronkami koloru kremowego...

— To pani Łotuska, — uzupełniła Wanda.

— Otóż ona i ten pan szczupły, z długiemi włosami, tak starannie w nieporządku utrzymywanemi, mają się ku sobie.

— Ten pan nazywa się Szarocki, poeta.

— Poeta! — zawołała ucieszona, — pierwszy raz widzę poetę. Czy każdy ma takie włosy?

— O, nie! On choruje tylko na wygląd poety, ale sam, zdaje mi się, nie jest poetą. Więc oni się kochają? I bardzo?

— Może i bardzo... pewno wkrótce się pobiorą.

— Omyliłaś się! — zawołała rozbawionym głosem, — ona jest mężatką i mąż żyje.

— A oni się kochają!? — zdziwiła się, — i ona pozwala na to?

— Dorciu, czy ty spadłaś z gwiazd?

— To, nie... chyba, że ona rozwodzi się ze swym mężem.

— Dlaczego?

— Jakże można dwóch kochać? Gdybym była na jej miejscu...

Zapukano do drzwi i wszedł pan Borowiecki, pytając:

— Czy nie przeszkadzam? — położył pęk kwiatów przed panią Wandą.

— Psuje mnie pan, — uśmiechnęła się przyjaźnie i napawała się wonią kwiatów.

— Przez drzwi dochodziły odgłosy ożywionej rozmowy... Czy to sekret? — usiadł naprzeciw pań siedzących na kozetce.

— O, nie mów pani! — prosiła Dorcia cała zarumieniona.

— Dlaczego? przecież to nie żadna tajemnica... Mówiłyśmy o pani Łotuskiej i panu Szarockim i Dorcia...

— Ach, nie! Nie!

— Dorcia i ja przypuszczamy, że oni sympatyzują ze sobą, a może nawet się kochają.

— Przynajmniej takie są pozory, — uśmiechnął się.

— I Dorcia wyraziła zdziwienie, jak można dwóch kochać... nie dokończyła jednak zdania swego, ponieważ pan wszedłeś.

— A to zdanie? panno Dorciu?

— Ależ ja tylko do pani mówiłam, — zawołała zawstydzona i podrażniona.

— Dorciu, czy wstydzisz się swych przekonań? — uśmiechnęła się.

— O, nie!

— Więc dokończ.

Spuściła oczy, wahała się przez chwilę, wreszcie powiedziała rezolutnie:

— Gdybym była mężatką i przestałabym męża kochać, a zakochałabym się w drugim, powiedziałabym mężowi: nie kocham cię, rozwiedźmy się, no i wyszłabym za tego, którego pokochałam.

Borowiecki raz tylko z ukosa spojrzał na panią Wandę, ciekawy wrażenia tych słów, a widząc jej twarz spokojną, zwrócił się do Dorci:

— To tak się mówi, — uśmiechnął się niedowierzająco, — teraz pani odważna, bo nie ma pani męża, ale gdyby był, napewno uciekłaby się pani do dyplomacyi, pozorów...

— Nie! Nigdy! Jakżebym mogła oszukiwać człowieka, który mi ufa i którego dawniej kochałam. Nie wyobrażam sobie, jakbym ja jemu w oczy spojrzała?

— Tak, jak zwyle, panno Dorciu, — zaśmiał się, — czy pani nigdy nie przekroczyła zakazu? Czy nigdy z niczem się pani nie ukrywała?

— Ja?... No, tak, ale na krótko i przyznawałam się, bo przecież i tak prawda wypłynie.

— A gdyby nie wypłynęła?

— Ach, to są rzeczy, których ukryć nie można, a ukrywanie robi gorszą przykrość, aniżeli przyznanie się.

— Ale jeśliby pani wiedziała, że swem przyznaniem się zrobiłaby pani wielką przykrość swemu mężowi? — rozmyślnie przedłużał ten temat.

— Powiedziałabym i tak. Lepsza jest krótka przykrość, chciażby wielka, aniżeli udawanie... ale pan ciągle tylko mnie pyta, a pani jak sądzi? — zwróciła swe ładne, czarne oczy na milczącą panią Wandę.

— W zasadzie zgadzam się z tobą, — odpowiedziała z obojętnością, która zbyt odbijała od podniecenia Dorci.

— Czy tylko w teoryi? — uśmiechnął się Borowiecki.

— I w teoryi i w praktyce, o ileby zaszły warunki wspomniane przez Dorcię, — odrzekła spokojnie, jak o sprawie, która ją mało interesuje, — a jakie pana zapatrywanie?

— W teoryi? czy w praktyce?

— Ach, tak, rozumiem, — uśmiechnęła się ironicznie, cała ta bowiem jego rozmowa podrażniła ją, gdyż, jej zdaniem, on tak od niechcenia mówił o tak bardzo ważnej sprawie — teoretycznie jesteś pan wyznawcą wzniosłych zasad, ale w praktyce gotów pan korzystać ze sposobności.

— Cokolwiek inaczej, — zaśmiał się z udaną swobodą, — teoretycznie wszyscy potępiamy oszukiwanie czy to męża, czy żony, ale w praktyce przymykamy oczy dobrotliwie i mówimy sobie: co mnie do tego? To jest sprawa pomiędzy małżonkami.

— A pan do której kategoryi należy? — spytała może za porywczo, co zwróciło uwagę Dorci, która zaczęła się baczniej obojgu przypatrywać.

— W życiu codziennem do kategoryi praktycznych.

— Tak, to najwygodniej, — ironizowała, — więc takich zasad trzyma się pan w życiu codziennem, a od niedzieli i święta?

— To inna sprawa, — zaczął z wielkim spokojem, — od święta, czyli od chwili, gdy ja zaczynam kochać, nie znam żadnych kompromisów ani z sumieniem, ani z praktyką życia, jak jedna jest miłość, tak i jedna uczciwość.

— A więc to tak? — spojrzała przelotnie na niego i spuściła oczy.

— Cieszy mnie, — przerwała Dorcia chwilowe milczenie, — że oboje państwo jesteście mego zdania, a teraz idę patrzeć na góry. Prześliczne są w słońcu zachodzącem, — wstała i przeszła na otwarty balkon.

— Wyjątkowo prawa dusza, — wskazał oczyma na balkon.

— Czy pan tak mało znał uczciwych kobiet? — uśmiechnęła się.

— Przeciwnie, bardzo wiele, bo nawet grzesząc, można być uczciwym... ale ona ma prosto-

linijną moralność, a każde odchylenie gotowa nazwać po nazwisku. Gdy mówiła, można było wyczuć ton szczerości.

— Ona i dla mnie, jak pan słusznie określił, jest prostolinijna i lubię ją szczerze.

— Nic dziwnego, — uśmiechnął się, — jak zwykle w pokrewieństwie.

Nie zrozumiała na razie i zdziwiona, że zapomniał, iż Dorcia zostawała tylko pod jej opieką, powiedziała:

— Ależ ona nie jest moją krewną.

— Wiem, ale jest pokrewną, bo i pani posiada tę prostolinijność uczuć i przekonań.

— Skąd pan wie? — uśmiechnęła się przyjemnie.

— Z obserwacyi... Psychikę pani odtworzyłem sobie na wzór mozaiki, z przerozmaitych drobnych szczegółów, ze spojrzeń, ruchów, uśmiechów, aż póki obraz pani nie stanął przede mną wykończony.

— O, tak dużo pracy pan sobie zadał? — zaśmiała się, — czy nie było prościej i łatwiej zapytać mnie? Nie mam żadnych tajemnic i byłabym panu szczerze odpowiedziała na pytania.

— Na wszystkie? — patrzał w jej piękne, łagodne oczy.

— Sądzę, że nie pytałby mnie pan o takie rzeczy, na które nie mogłabym odpowiedzieć.

— Oczywiście, nie prosiłbym panią o odpowiedź, czy na Marsie żyją tacy ludzie, jak my, gdyż pani nie mogłaby mi kategorycznie odpowiedzieć, ale są pytania, na które może nie zechciałaby pani odpowiedzieć, musiałem tedy szukać rozwiązania zagadki na innej drodze.

— I znalazł pan?

— Tak mi się zdaje.

— A ja bardzo wątpię, gdyż czasem jestem sama sobie zagadką, i ze zdziwieniem dowiaduję się, że jestem zdolna do takich uczuć albo czynów, których możliwości u siebie nie przypuszczałam.

— Tak, to naturalne. Te wyjątki należą do kategoryi nastrojów, bezpośrednich odruchów, a źródło ich zawsze odnajdziemy w swej psychice, i to przyznanie się pani do nieświadomości pewnych procesów psychicznych stwierdza prawdziwość mych obserwacyi.

— Nie wiedziałam, że pan należy do kategoryi ludzi nieomylnych, — zaśmiała się, — sądziłam, że tylko nauczyciele i nauczycielki posiadają ten przywilej.

— Znam ten gatunek ironii pani, — uśmiechnął się, — służy ona do omijania spraw, mogących się stać drażliwemi, zdaniem pani. W tym wypadku jest to odsunięcie pytań, wkraczających w życie wewnętrzne pani.

— A gdyby i tak było, czy pan myśli że podstępem lub wytrychem można otworzyć tajemnicę duszy?

— Wiem, że tą drogą nie zdobywa się tajemnicy serca.

— A gdybym ja zaczęła pytaniami badać duszę pana, czy byłoby to panu przyjemnie?

— Nawet w celu doświadczeń psychologicznych oddałbym się całkowicie na rozkazy pani, tak wierzę w niezmierną pani dobroć, szlachetność i subtelność odczuwania.

— I na czem opiera się ta wiara? — spojrzała na niego z wielkiem zajęciem.

— Wiara nie rozumuje, ona sama w sobie jest przyczyną i skutkiem. Gdy spotkałem tu panią poraz pierwszy, miałam wrażenie, że gdzieś, kiedyś, już panią dobrze znałem. Nie mogłem brać w rachubę tej przelotnej, wcale niezauważonej znajomości z pensyonarskich czasów pani, była inna, głębsza przyczyna, z której dopiero później zdałem sobie sprawę.

— I jaka? — spytała zasłuchana.

— Pani jest typem takiej kobiety, jakiej dotychczas napróżno szukałem. Bardzo mało znam ludzi, którzyby mieli tak wyrobione i skrystalizowane poczucie własnej godności i indywidualności. Wszystkie pani przykrości, cierpienia, ujemne uczucia, mają swe źródło w szorstkiem starciu tych właściwości pani z otoczeniem, które albo ich nie rozumie, albo lekceważy.

Jaka to prawda, pomyślała, zdziwiona tem określeniem jej charakteru, przecież z mężem nigdy nie doszłoby do zerwania, gdyby on tak dalece nie był ignorował jej indywidualności, nie uważał jej za swą własność i niewolnicę, która musi być posłuszna jego zachceniom i kaprysom... A Borowiecki, jak doskonale ją poznał i zrozumiał, to umysł niezwykły i bardzo subtelny. Zapragnęła usłyszeć więcej o sobie od niego i spytała cichym głosem:

— Cóż więcej?

— Pani, mając sama duszę kryształową, brzydzi się każdym fałszem, kłamstwem, udawaniem i widzi w tem lekceważenie siebie, — mówił dźwięcznym, podnieconym głosem, ogarniając ją rozczulonemi oczyma. — Inni uważają tę właściwość pani za wybujałość nerwów, wyobraźni, za chorobliwą skrupulatność, a niemożność pani pogodzenia się z fałszem za brak serca. A jednak pani w swej istocie jest taka dobra, miękka, wybaczająca, i niema takiej prawdy, którejby pani nie przebaczyła.



— Wyjątkowo prawa dusza, — wskazał oczyma na balkon.

Jakkolwiek nie miała siebie za tak dobrą i doskonałą, zdawało się pani Wandzie, że ten człowiek czyta w jej duszy, poczuła obawę przed nim, ta jednak nie robiła jej przykrości, lecz ogarniała ją, jak słodka niemoc, której się i lęka, ale i pragnie. Po chwili starała się otrząść z wrażenia i powiedziała:

— Nie mówmy o mnie, dobrze? Wszystko, co pan o mnie powiedział, pochlebia mi tylko i kładę to na karb uprzejmości pana.

— W tem odezwaniu swojem ujawniła pani swój błąd, niemal kardynalny, a mianowicie zamiłowanie do autokrytyki i analizy drobiazgowej, to przeszkadza pani w odbieraniu bezpośrednich wrażeń i psuje pani radość życia.

— Bardzo być może, — uśmiechnęła się przyjemnie, — ale właśnie ta krytyka chroni mnie od impulsywnego działania, — spojrzała mu w oczy, — a takiego później musiałabym może gorzko żałować.

— Ach, pani! — zaśmiał się wesoło, — każdy człowiek, bez żadnego wyjątku, posiada swoją małą głupotę, na którą nie pomoże i najsubtelniejsza krytyka. Czy nie tak, panno Dorciu? — zwrócił się do wchodzącej z balkonu.

— Jeśli idzie o głupotę, — uśmiechnęła się ze szczerością dziecka, — to wiem dobrze, że ją posiadam.

— Naprawdę? — spojrzała na nią rozbawiona pani Wanda.

— Najzupełniej, — skinęła głową, — ileż razy powiedziałam sobie: nie rób tego, bo to głupio!... I wie pani, prawie zawsze postąpiłam wbrew własnemu ostrzeżeniu, czyli głupio, — zaśmiała się swobodnie.

— Ale dlaczego, Dorciu? Jeśli sama przewidywałaś, mogłaś się mieć na ostrożności.

— Naturalnie, że mogłam, ale to było nad moje siły i zrobiłam głupstwo! — zaśmiała się.

— No, opowiedz nam, jakie? — zachęcała pani Wanda i zarumieniła się, posłyszawszy własne słówko: „nam“. Spojrzała przelotnie na Borowieckiego i zdawało się jej, że on zauważył to słówko i ucieszył się. Otóż moja głupota, pomyślała zaniepokojona.

— Dajmy na to, — zaczęła Dorcia, — ktoś opowiada, a ja wiem, że ta osoba lubi przesadzać, i gdy spostrzegę, że nadto kłamie, muszę na to zwrócić jej uwagę. Albo jestem w towarzystwie żydów, obiecuję sobie nic złego ani dobrego nie mówić o żydach, aż tu nagle paf! strzelę głupstwo! Ja myślę, że każdy człowiek ma takie chwile, a pani miewa?

— Ja?... — a przypomniawszy sobie słówko „nam“, dokończyła, — prawdopodobnie miewam także.

— I nie pomogła nam autokrytyka, — zaśmiał się Borowiecki.

Pani Wanda spojrzała na niego podejrzliwie, czyżby on rozmyślnie użył słowa „nam“? Borowiecki miał jednak twarz tak pogodą, że podejrzenie ustąpiło i powiedziała:

— To zdarza się tylko w chwili zapomnienia.

— Niech będzie i chwila, ale bardzo często chwila decyduje, nie godzina.

— To wielka prawda, — potwierdziła Dorcia z powagą, co ich oboje wprawiło w dobry humor.

Odezwał się dzwonek na kolacyę.

XV.

W końcu kwietnia, w dzień jasny i słoneczny, ktoś z gości zakładu zaproponował przy obiedzie wspólną wycieczkę do Doliny Białego Potoku. Pomysł ten znalazł ogólne uznanie i postanowiono wyruszyć z zakładu o godzinie trzeciej, ażeby zdążyć z powrotem na kolacyę.

— A my idziemy? — spytała szeptem pani Łotuska swego sąsiada.

— Zostańmy, — odszepnął pan Szarocki, — daleko milej we dwoje, — uśmiechnął się do niej, — nikt nam nie przeszkodzi.

— A może to nie wypada, — wahała się, — wszyscy idą, tylko my nie.... domyślą się, że umyślnie zostaliśmy.

— Powiedz, że masz migrenę, — doradzał szeptem, — a ja pójdę z nimi. Zgubię ich albo na Rynku, albo też, gdy wejdziemy do lasu.

— A jeśli to spostrzegą?

— Zrobię to bardzo ostrożnie. Wrócę dorożką i nie wejdę do zakładu bramą główną, lecz bocznemi drzwiami i nikt mnie nie zobaczy. Zgódź się, moja droga, i tak już niedługo naszego szczęścia... w czerwcu on przyjeżdża.

— To prawda, — westchnęła.

W końcu obiadu spytała jej pani Mniewska:

— A pani zapewne z nami się wybierze?

— Nie wiem. Czuję zbliżającą się migrenę, — przyłożyła pani Łotuska do czoła swą białą kształtną rękę, — jeśli tylko nie sprawdzą się moje przewidywania, pójdę bardzo chętnie.

— Jaka szkoda, — powiedział smutnym głosem pan Szarocki, — że ta migrena przychodzi tak nie w porę. Cieszyłem się, że będę czas dłuższy w towarzystwie pani, a ta dolina taka piękna i romantyczna.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagrożona pamiątka na Rynku krakowskim.

O ile sercem Polski jest Kraków, to sercem Krakowa jest przepiękny Rynek z kościołem Maryackim, z Sukiennicami i starożytnym kościółkiem św. Wojciecha. Ale obok tych drogich dla każdego Polaka pomników naszej przeszłości, każda niemal kamienica na Rynku krakowskim jest historyczną pamiątką. Wśród tych pamiątek pierwsze miejsce niewątpliwie zajmuje dom, na rogu Rynku i ulicy Szczepańskiej położony, a zwany Krzysztoforami. Niema na Rynku popularniejszego domu, a mało jest takich, któreby posiadały taką historyczną wartość.

Krzysztofory, to już nie tylko dzieje Rynku krakowskiego, ale cząstka historyi Polski. Kamienica ta, która powstała z kilku mieszczańskich domów, pochodzących z gotyckich jeszcze czasów, należała w wieku XVI. do Iwana z Aleksandrowic, następnie do mieszczanina Kośliny, hojnego fundatora kaplicy św. Pawła w kościele N. M. P., potem do Morsztynów, Wacława Chodorowskiego, Adama Kazanowskiego, Wodzickich, Ks. Kajetana Ign. Sołtyka, biskupa krakowskiego, Jacka Kluszeckiego, Edw. bar. Rastawieckiego, wreszcie Jana Waltera, w którego rodzinie pozostawała aż do ostatnich czasów.

Wzniesione na gotyckich murach Krzysztofory zajmują naczelne w Rynku miejsce i całą jedną stronę ulicy Szczepańskiej, oraz część obecnie ulicy Jagiellońskiej. — Olbrzymia ta budowla posiada potężną, sklepioną przejazdową sień, w której swobodnie mogły się poruszać kolasy w trzy pary zaprzężone, pięknie sklepione na parterze sale, szeroką, widną klatkę schodową, jakiej próżno szukać w całym Krakowie, oraz przepiękne komnaty i izby.

Wspaniała ta budowla wiąże się ściśle z wielu momentami naszych dziejów. W komnatach jej przebywali monarchowie polscy Władysław IV., Jan Kazimierz, Król Michał Korybut. W roku 1772 gościł pod Krzysztoforami hetman koronny Branicki, a ułani królewscy trzymali straż przed jego mieszkaniem. W r. 1782 otwierają Krzysztofory swe



Zagrożona pamiątka na Rynku krakowskim: Sień wjazdowa Krzysztoforów.



Rozkopany Kraków: Most na Rynku u wylotu ulicy Sławkowskiej.



Zagrożona pamiątka na Rynku krakowskim: Kamienica na rogu Rynku i ulicy Szczepańskiej, zwana Krzysztoforami.

podwoje na przyjęcia przyszłego cesarza Rosyi Pawła Petrowicza, który pod przybranem nazwiskiem hr. du Nord, w powrocie ze swej podróży po Europie, odwiedził i Kraków.

Należy jeszcze wspomnieć, że w r. 1787 mieszkał pod Krzysztoforami kasztelan wojnicki, Ożarowski, a obiadował u niego podczas swego pobytu w Krakowie król Stanisław August.

Obfitujące w tyle wspomnień historycznych Krzysztofory przeszły niedawno w ręce konsorcyum, które ma przystąpić do przebudowy tego gmachu. Obiegły też prasę alarmujące wieści o gruntownych przeróbkach, a nawet zburzeniu tej historycznej pamiątki. Należy mieć jednak nadzieję, że obawy te okażą się płonnemi.

Konsorcyum właścicieli, wśród których nie brak ludzi bardzo poważnych, dołoży niewątpliwie wszelkich starań, aby przystosowując Krzysztofory do współczesnych wymagań, nie uronić nic z ich pamiątkowej wartości. Bo „Krzysztofory należą, — jak słusznie pisze p. Franciszek Turek w „Miesięczniku Artystycznym“ — nie tylko do swych teraźniejszych właścicieli, ale należą one przedewszystkiem do stolicy Krakowa, do jego historyi, która kreśliła w nich swe dzieje, jak w księdze. Krzysztofory są, jak każda rzecz publiczna w całem tego słowa znaczeniu, zależne od woli nie tylko ich obecnych właścicieli, ale i od woli ogółu“.

Nie wątpimy też, że teraźniejsi właściciele Krzysztoforów uszanują tę wolę ogółu polskiego i spełnią czyn obywatelski, chroniąc tę pamiątkę historyczną od zagłady i zniszczenia.

Rozkopany Kraków.



Rozkopany Kraków: Układanie nowych szyn tramwajowych na Rynku u wylotu ulic Szczepańskiej i Sławkowskiej.

Ktokolwiek zawita obecnie do Krakowa, nie pozna tego cichego podwawelskiego grodu. Chociaż połowa ulic jest zamknięta dla ruchu kołowego, wszędzie jednak wre dziś gorączkowa praca. W pierwszej chwili te kupy rumowisk, stosy kamieni, szyn, betonu i t. d. robią trochę dziwne wrażenie, a jednak w historyi Krakowa rok ten stanowi ważny moment. Wielki Kraków europeizuje się, a rozkopane ulice świadczą dowodnie o tem, iż zarząd miasta forsownie pracuje, aby z Krakowa zrobić wzorowo urządzoną stolicę.

Największe roboty dokonywane są w ulicach, którymi prowadzona będzie druga szerokotorowa linia tramwajowa. Linia ta zaczynać się będzie na końcu ulicy Lubicz i tworzyć tutaj przez część ulicy Topolowej i Rakowickiej pętlicę. Następnie tory pójdą przez ulicę Lubicz, ulicę Andrzeja Potockiego do Głównej Poczty, dalej przez ulicę Sienną, Mały Rynek, wzdłuż linii A—B, przez ulicę Sławkowską i Długą, do nowego dworca towarowego. W łączności z pracami około tej linii dokonano przebrukowania całego Małego Rynku, oraz Rynku Głównego. Także ulice, któremi nowa linia jest prowadzona, uległy zupełnej rekonstrukcyi.

Nowa arterya komunikacyjna stworzy doskonałe połączenie dla kilku nowych dzielnic Wielkiego Krakowa.

Poza temi robotami prowadzona jest rekonstrukcya wielu ulic, w których dawane są nowe bruki, oraz przeprowadzana kanalizacya.

W ten sposób chwilowo rozkopany Kraków zamienia się powoli w miasto europejskie.

Z kraju, gdzie niema deszczów.

Tegoroczne tak zwane „lato“ wszystkim zgotowało gorzkie rozczarowanie... Zamiast upragnionych dni ciepłych i słonecznych, mieliśmy ciągłe deszcze i prawdziwie jesienną słotę. Rok obecny, pełen tylu niespodzianek w polityce, przyniósł nam także przykrą niespodziankę na punkcie aury. Mokliśmy od góry i dołu, wystawieni na deszcze i powodzie.

Wobec tych figlów aury, które dla rolnictwa stały się dotkliwą klęską, a wszystkich przyprawiły o melancholię, warto pocieszyć się myślą, że o ile nieszczęściem jest taki nadmiar wody, jaki odczuwaliśmy w roku obecnym, to jeszcze gorszem jest



Rozkopany Kraków: Przebrukowywanie Małego Rynku, skąd usunięto historyczne przekupki krakowskie.



Z kraju, gdzie niema deszczów: Arabowie na pustyni.

położenie tych, którzy muszą żyć w kraju bez wody, t. j. na pustyni..

Na illustracyi naszej widzimy właśnie Arabów wśród takiego piaszczystego morza, gdzie niema ani strumyka, ani kępki drzew. U góry palące słońce, u dołu fale rzucanego wichrem piasku, pod którym giną ludzie, wielbłądy i całe karawany. Giną w tej otchłani piaszczystej, jak w morzu. Dopiero po latach wędrowcy odnajdują sterczące z piasku szkielety.

Jakkolwiek przykrą i dotkliwą niespodzianką dla kraju było tegoroczne „mokre" lato, powinniśmy się pocieszyć, że gorzej jeszcze żyć w kraju, gdzie niema deszczów.

Zasłabnięcie nestora pisarzy polskich.

Nestor pisarzy polskich, profesor i były rektor, dr. Antoni Małecki, to osobistość kto wie, czy nie najpopularniejsza we Lwowie. Sędziwy starzec, liczący dziś dziewięćdziesiąt trzy lat żywota, cieszył się zawsze doskonałem zdrowiem i nigdy dotąd nie chorował, ani się nie leczył.

Od jakiegoś czasu zapadł jednak na cierpienie pęcherza. I teraz długo nie wzywał do siebie lekarzy, gdy przecież słabość zaczęła mu coraz bardziej dokuczać, oddał się pod ich opiekę. Skoro jednak i pomoc, stosowana w ostatnich tygodniach, nie



Z kraju, gdzie niema deszczów: Szczątki zasypanej karawany.

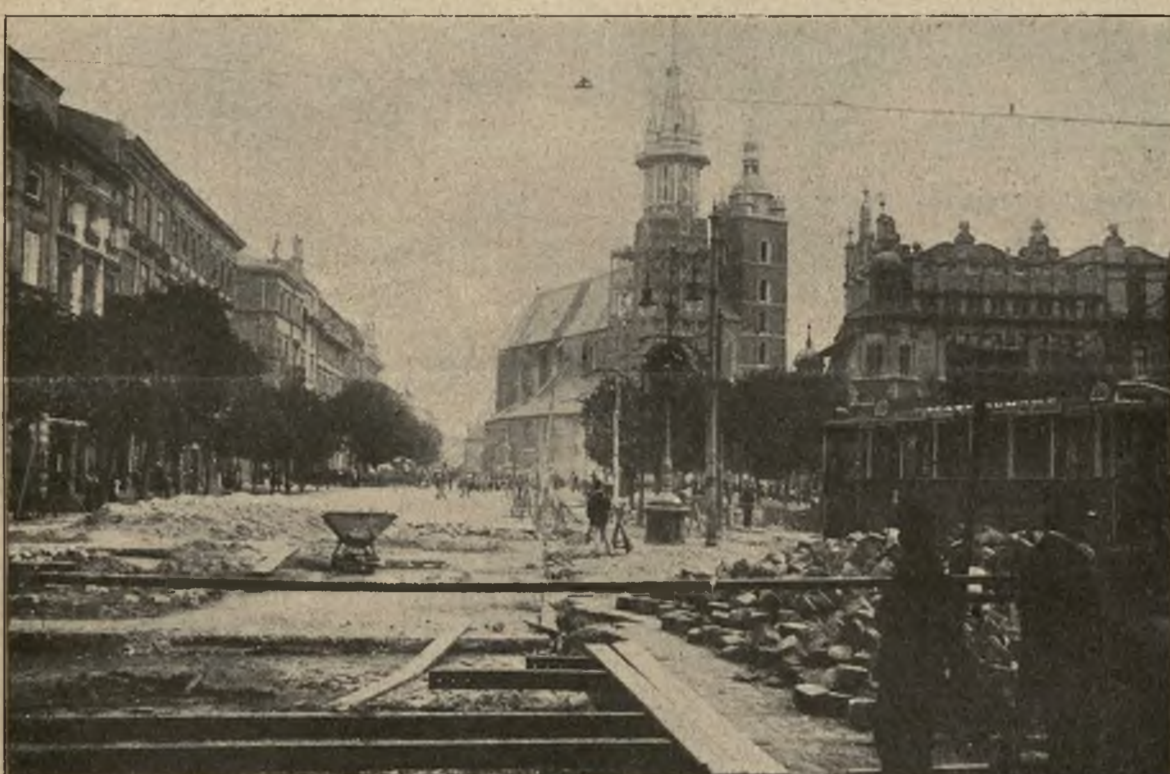
wystarczała, sam zdecydował się na poddanie się operacyi. W ubiegłym tygodniu dokonał jej profesor Rydygier w towarzystwie dra Aleksiewicza.

Operacya powiodła się znakomicie, stan sędziwego pacyenta widocznie się po niej poprawił. — Oczywiście nie mogła ona pozostać bez wrażenia nawet na tak silnym organizmie, jak profesora Małeckiego, nie należy przecież wątpić, że czcigodny pacyent przetrwa szczęśliwie obecną słabość i wkrótce powróci do zdrowia.

Tego życzy Mu zresztą cały ogół polski, pragnący widzieć długo jeszcze nestora piśmiennictwa polskiego w pełni sił, u szczytu chwały, między najzasłużeńszymi.



Walka o Adryanopol: Wkroczenie Turków do Adryanopola. (X) Turecki następca tronu.



Rozkopany Kraków: Układanie szyn i nowego bruku na Rynku od strony A B



Pogrzeb przywódcy socyalizmu niemieckiego: Karawan ze zwłokami Augusta Bebla

Pogrzeb przywódcy socyalizmu niemieckiego.

Zmarły niedawno w Szwajcaryi w Passug, gdzie zostawał pod troskliwą opieką swej córki, przywódca socyalistów niemieckich, wybitny działacz i parlamentarzysta, August Bebel, postanowił ostatniem rozporządzeniem swej woli, by zwłoki jego spalono w krematoryum, urnę zaś z popiołami pogrzebano na centralnym cmentarzu w Zurychu, gdzie spoczywają już popioły jego żony.

Zwłoki Bebla przewieziono więc do Chur, stąd zaś do krematoryum zurychskiego.

Pogrzeb, który odbył się w Zurychu w dniu 17 sierpnia, zmienił się w wspaniałą żałobną manifestacyę, w której wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy osób, prawie wszyscy posłowie socyalistyczni do parlamentu niemieckiego i delegacye stowarzyszeń socyalistycznych z całej Europy.

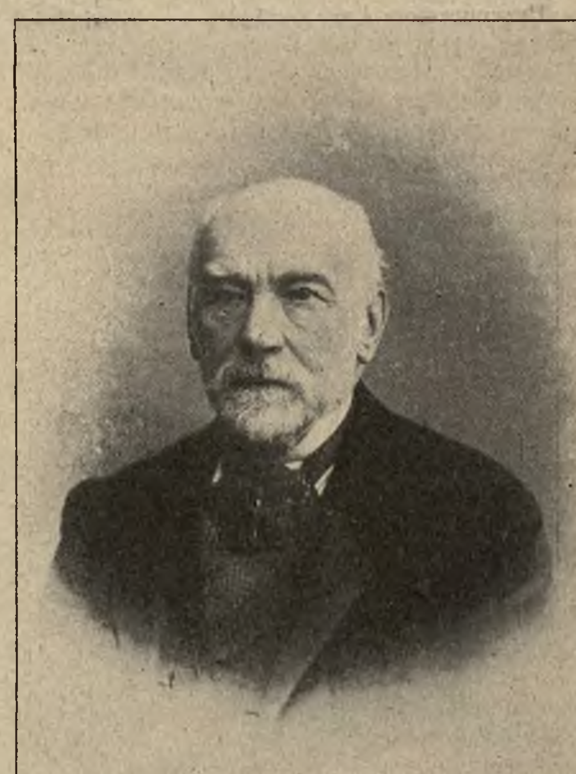
Z Wiednia przybyła na pogrzeb deputacya pod przewodnictwem posła Adlera.

W pochodzie niesiono kilkaset wieńców, a stowarzyszenia socyalistyczne ze Szwajcaryi, w liczbie ponad dwieście, wystąpiły ze sztandarami.

Można śmiało powiedzieć, że w pochodzie reprezentowane były wszystkie kraje i narody całej Europy.

Porządek panował wszędzie wzorowy.

Z powodu ogromnej liczby uczestników na cmentarz wpuszczono tylko delegacye, tutaj wygłoszono



Zasłabnięcie nestora pisarzy polskich: Profesor dr. Antoni Małecki.

też kilkanaście mów żałobnych, w których podnoszono zasługi zmarłego i jego znaczenie dla rozwoju idei socyalno-demokratycznej.

Na ręce rodziny nadeszło mnóstwo telegramów kondolencyjnych z całego świata.

Zanim Bebel udał się do zakładu kąpielowego, przeczuwając zbliżającą się śmierć, cierpiał bowiem na ataki sercowe, wydał ostatnią dyspozycyę, pozostawiając krewnym wybór miejsca spalenia, gdyby oni zaś tego nie uczynili, miał się tem zająć zarząd partyi socyalno demokratycznej.

Bebel zapisał stronnictwu znaczną kwotę i jedyne prawo wydawnicze swych dzieł po pewnym okresie czasu.

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

8

Odpowiedź zakonnicy brzmiała:

— Nikt prócz nas i na krótką chwilę służący, który coś dla mnie przyniósł. Zarówno pani baronowa, jak i ja byłam w pokoju, kiedy służący tu bawił, nie przeszedł nawet przez próg pokoju, ale w drzwiach ze mną rozmawiał. Pan baron bawił rano chwilę w sąsiednim pokoju, gdzie spimy i jemy i dokąd nam wszystko przynoszą. Dowiadywał się o stan chorego, zanim wybrał się na wizytę w okolicę Berlina.

— Wróciłem dopiero wieczór i nie byłem zupełnie w pokoju chorego, — uzupełnił baron.

Mówiąc to, zaczął skrycie obserwować baronową, ktora tego nie zauważyła. Marga najpierw płakała, zapamiętując się w rozpaczy, rzuciła się na ciało i pokrywała je pocałunkami i łzami. Potem umilkła zupełnie, zachowując się dziwnie spokojnie. Na zapytania doktora odpowiadała monosylabami, okazując pewne zdziwienie. Od czasu do czasu przesuwała ręką po czole, zroszonem potem. Po chwili podeszła do okna, otworzyła gwałtownie jego skrzydła i wychyliła się na chwilę na zewnątrz, chłodząc rozpaloną twarz. Tylko kilka momentów to trwało, — cofnęła się. W tej chwili chwycił ją baron Wolfern gwałtownie za rękę.

— Coś w tej chwili wyrzuciła, Margo? — zapytał głośno i gwałtownie.

Zwróciła ku niemu twarz zmieszaną i bladą.

— Ja — na dół — nic nie — rzuciłam.

— Owszem, widziałem doskonale ruch twojej ręki. Rzuciłaś coś do ogrodu, aby to coś ukryć. Musimy natychmiast odszukać, co to było.

Zadzwonił na służącego. który jeszcze nie spał i rozkazał mu przeszukać w ogrodzie pod oknem rabat, czy nie znajdzie tam wyrzuconego przedmiotu. Wobec panujących jeszcze ciemności, wszelkie poszukiwania pozostały bez rezultatu, baron był już jednak przekonany o winie swej szwagrowej.

— Przypuszczam, co to było — oświadczył wzburzony. — policya już tę rzecz wyszuka.

— Na Boga, — ty przecież nie zechcesz policyi...

— Łaskawa pani, doniesienie musi być zrobione, - wmieszał sie dr. Major, wzruszając ramionami. — W każdym razie zaszedł wypadek zatrucia. czy umyślny, czy przypadkowy. nie mogę na razie przesądzać. Najlepiej będzie, jeśli donesienie wyślemy natychmiast.

— Ma pan racyę — zawołał baron Wolfern, posłał też zaraz służącego do urzędu policyjnego.

Baronowa rzuciła się na krzesło i łkała, nie słuchając gwałtownych wygadywań barona. W szalonym gniewie zapomniał o należnym respekcie i zachowywał się jak waryat.

Po małej półgodzince zjawił się komisarz policyi w towarzystwie policyanta, obaj po cywilnemu. Po spisaniu dokładnego protokołu, udali się do ogrodu. Noc już ustąpiła miejsca jasności dziennej, tak, iż przy świtającym brzasku można było czynić poszukiwania. Zresztą urzędnicy policyjni znali dobrze swój zawód. Po kwadransie poszukiwań powrócili na górę. Komisarz niósł małą flaszeczkę w ręce.

— To oto znalazłem w krzaku, rosnącym opodal, — oświadczył baronowi, wskazując przez okno na ogród. — Prawdopodobnie to jest ów corpus delicti. Proszę państwa, tu napisane wyraźnie: morfina. Niestety, przez uderzenie korek się odbił i zawartość rozlała się, o ile wogóle coś wewnątrz jeszcze było.

— A więc przecież — szepnął baron do siebie, — widziałem, jak wyciągnęła rękę do rzutu.

— Tak, flaszeczka musiała być rzucona, — potwierdził komisarz, — inaczej byłaby upadła bezpośrednio pod oknem i rozbiłaby się na kamieniach tam się znajdujących. Silnie rzucona, upadła w krzaki, które osłabiły siłę rzutu. Korek leżał na szczęście blizko obok, jest to szklanne zamknięcie, jakiego używają w aptekach do korkowania niebezpiecznych płynów.

Doktor Major zbadał flaszkę i potwierdził, że zawierała ona istotnie morfinę.

— Cóż pani na to powie, baronowo, — zwrócił się komisarz do młodej kobiety. — Czy pani przyznaje, że pani przez okno wyrzuciła tę flaszkę, aby się jej pozbyć, czy też nie?

Zapytana spojrzała dziwnie na niego i odpowiedziała:

— No tak, nie zwykłam nigdy kłamać. Tak, flaszeczka ta była w mojem posiadaniu i ja rzuciłam ją przez okno do ogrodu. Zapewniam jednak na zbawienie mej duszy: flaszeczka była zupełnie pełna, nie użyłam jej zupełnie, nie jestem morderczynią mego dziecka, które kochałam do ostatniej chwili i nad którego śmiercią boleję tak, iż podejrzenie, które przeciwko mnie się zwraca, zaledwie pojąć mogę.

Oczy doktora Burgera błyszczały.

— Tak, taką ją znam — zawołał rozgorączkowany. — Marga potrafi być taką. O przyjacielu! nie mogę, stanowczo nie mogę uwierzyć w jej winę, mimo, że logika wypadków przeciw niej przemawia. Dlaczegoby jednak miała do jednych faktów się przyznawać, a drugim zaprzeczać? Kto nie chce odpowiadać za jakiś czyn, nie przyznaje się do okoliczności, któreby przemawiały przeciw niemu.

— Tylko w połowie masz racyę. Możnaby bowiem i tak argumentować: Fakt, iż flaszeczka z trucizną znajdowała się przedtem w jej ręce, był rzeczą za bardzo znaną, aby mogła jej zaprzeczyć, nie narażając się na niewiarę. A zaprzeczać faktom, które mogą być udowodnione, znaczy przecież tyle, co potwierdzać przeciw sobie podejrzenia. Kto więc chce postępować rozważnie, ten przyzna się bezwarunkowo do tego. co uznać musi, choćby nawet fakty te były dla niego obciążeniem. Inne postępowanie nie przyniosłoby mu żadnych korzyści, a tak, to jego rzekoma szczerość może tylko wzmocnić wiarę w jego zeznania.

— Czyżby baronowa Wolfern była aż tak wyrafinowaną?

— Nie, ona powoduje się tylko instynktem kobiecym. Kto wie, może ją samą czyn jej tak zaskoczył, że prawie wierzyć nie chce w to, co się stało. Przypuszczalnie bowiem działała w podnieceniu. Do czynu popchnęła ją rozpacz i świadomość tego, że za kilka godzin będzie znowu musiała porzucić ukochane swe dziecię i to porzucić z rozkazu i pod przymusem.

— Czy pan uważa, iż motyw taki tłomaczyłby dostatecznie jej postępek?

— Dlaczegóżby nie? Ona uważać mogła taki czyn za akt heroizmu, powoli stał on się jej manią, od której uwolnić się już nie mogła. Najlepiej będzie, jeśli pan, doktorze, przemilczy wszystko to, co ona panu o tej sprawie mówiła, gdyż cała ta rozmowa byłaby nowym przeciwko niej dowodem.

— Tak, ja to sam dobrze rozumiem. Nikomu chyba bardziej, niż mnie, nie zależy na jej ocaleniu, — zapewnił młody lekarz gorąco.

Wiem o tem, przyświadczył adwokat. — Ostatecznie motyw, wynikający z tego, że musiała swe dziecko opuścić, nie był tu jedynie działającym. Jak słyszałem, miała kilka przykrych scen ze swym szwagrem, opiekunem dziecka, choć sama mi o tem nie wspominała. Tylko komisarz policyi, który mi o całem zajściu opowiadał, wspominał o tem kilkakrotnie.

— A czy prócz niej przeciw nikomu nie może się zwracać podejrzenie?

— Przeciw nikomu. Baronowi Wolfern mogło jedynie zależeć na jak najdłuższem życiu dziecka. Pozatem okoliczności czysto zewnętrzne wykluczają jego udział w czynie. Od południa poprzedniego dnia nie wchodził zupełnie do pokoju chorego. Na kilka minut tylko zjawił się rano w sąsiednim pokoju, przez który było jedyne wejście do chorego. Pozostałaby jeszcze zakonnica. Jaki interes miałaby w śmierci dziecka? Ostatecznie możnaby jej zarzucić niedbalstwo, ale skąd w takim razie wzięłaby się tam flaszeczka z morfiną? Zakonnica sama jest kobietą zdrową i dosyć młodą, tak. iż nie może być podejrzywaną, że oddaje się morfinizmowi.

Dr. Ammarell urwał, i z cichem ubolewaniem przyglądał się lekarzowi.

Ten smutnie skinął głową i podał mu rękę, zabierając się do odejścia.

Ma pan racyę — szepnął. — Nieszczęśliwa! Ale pan wszystko, co możliwe, zrobi, aby ją ratować?

— Czyż nie jestem jej dłużnikiem? — odpowiedział dr. Ammarell. — Na mój honor, doktorze, nie opuszczę jej do ostatniej chwili.

Przez kilka następnych dni Robert chodził i pracował, jakby był ciągle w ciężkim śnie. Straszny los Margi zajmował ciągle jego myśli, tak, że nie mógł zupełnie zdobyć się na jakąś jaśniejszą chwilę. W ciągłej rozpaczy i trosce nie był zdolny do logicznego rozumowania.

Czy on sam zdawał sobie sprawę z tajemnicy swego cierpienia? Tak - nareszcie rozumiał siebie; wiadomość o strasznem nieszczęściu obudziła w nim zrozumienie istotnej prawdy. Kiedy z ust swego kolegi usłyszał straszną wiadomość: Marga została aresztowana pod zarzutem zamordowania swego dziecka! spadła ona na niego, jak grom, który równocześnie niszczy i rozjaśnia ciemności. Aż do najgłębszych tajników jego ja wniknął wtedy weń, jakby promień jasnego słońca, który zarazem wstrząsnął nim, dając mu świadomość prawdy: kochasz ją, nieszczęśliwą!

— Czem jestem dla niej, czem mogę być? — zapytywał się po raz setny.

Wśród tych refleksyi i rozmyślań zjawiła się nagle kartka papieru, która jak bomba uderzyła. Było to wezwanie go na świadka w sprawie skargi przeciw baronowej Mardze Wolfern. Wezwanie wystosowane było z krótkim terminem, na drugi dzień w południe.

On miał świadczyć przeciwko niej!

Kto, na Boga, rzucił jego imię na pastwę sędziego śledczego? Z pewnością nie dr. Ammarell, który, przeciwnie, doradzał mu, aby o całej sprawie zachował ścisłe milczenie. Wzywała go chyba sama Marga w tem fałszywem przekonaniu, że będzie mógł zeznawać tylko na jej korzyść, a zamilczeć o tem, coby mogło świadczyć przeciw niej. Ale to byłoby niemożliwe. Przysięga musiałaby rozwiązać jego usta.

Jedną dobrą stronę miało wezwanie; otrząsnęło biednego dr. Burgera z półsennego stanu, w jakim się znajdował i otworzyło mu oczy na realną rzeczywistość. Okres smutnego rozważania minął, trzeba było stanąć wobec konieczności działania. Do tego zaś potrzebował jasnego i spostrzegawczego umysłu, oraz zastanowienia. Musiał zdać sobie sprawę ze wszystkiego, o czem wiedział, musiał się przygotować na różne pytania, a przedewszystkiem zastanowić się nad tem, jak będzie mógł połączyć prawdziwość swych zeznań z jak najdalej posuniętem oszczędzaniem nieszczęśliwej.

Przybył więc, według swego przekonania, przygotowany na wszystko. do sędziego śledczego, który prowadził przesłuchania w sprawie Wolfernów. Postanowił odpowiadać tylko na to, o co go zapytają, chyba, że postawione mu zostanie pytanie ogólne: Co pan wie ważnego o całej tej sprawie? Wtedy nie dałoby się użyć żadnego wybiegu.

Sędzia śledczy zaskoczył go zaraz na początku takim szeregiem pytań, zdradzających doskonałą znajomość sytuacyi, że niewiele mógł ukryć.

- Panie doktorze — rozpoczął badanie, — pan jest zaprzyjaźniony z baronową Wolfern?

— To prawda, panie sędzio.

— Panu, człowiekowi na socyalnem stanowisku i posiadającemu wysokie etyczne zasady, nie trzeba chyba przypominać, jaką ważność mają zeznania, które się potem musi potwierdzić przysięgą. Oskarżona przyznała się, że flaszeczka morfiny, która w procesie odgrywa rolę ważnego corpus delicti, pochodzi od pana?

- Sama siebie oskarżyła? — zawołał doktór zmieszany. — W takim razie chyba otwarcie przyznała się do wszystkiego?

— Uparcie obstaje przy tem, że jest niewinna, mimo iż coraz więcej gromadzi się dowodów, przemawiających przeciw temu. A więc jej zeznanie zgadza się z prawdą?

— Tak... — zapewne, — to znaczy...

— Że pan jej nie dał tej flaszeczki, ale ona zabrała ją panu bez pańskiej wiedzy, — nieprawdaż? To pan chciał powiedzieć?

— Istotnie, - przyznał, zaskoczony niespodziewanie doktor.

— Pańskie odpowiedzi wskazują, że pan już spostrzegł brak flaszeczki. Kiedy się to stało i czy pan wiedział lub przypuszczał, kto ją ma?

Cóż miał wobec tego pytania Robert zrobić? Musiał powiedzieć prawdę. Zrobił to w sposób najbardziej lakoniczny, gdyż odpowiedział tylko:

— W tym i w tym dniu, przy takiej sposobności; tak, miałem podejrzenie.

Tem samem jednak złapał się sam i badający sędzia odrazu wykorzystał sytuacyę, pytając go wprost, dlaczego przypuszczał, że była to baronowa Wolfern?

Dr. Burger zarumienił się i zmieszał silnie. Jeśli wyłuszczy powód swych przypuszczeń, tem samem będzie musiał wspomnieć o wynurzeniach baronowej, przed których opowiadaniem właśnie go dr. Ammarell tak ostrzegał. Ostrożnie więc opowiedział, że baronowa w czasie owej wizyty robiła na nim wrażenie bardzo przybitej i rozdrażnionej, tak, iż mimo woli, przypomniawszy sobie potem ten fakt, wpadł na taki domysł.

— Pan przypuszczał, że oskarżona chciała na sobie wypróbować działania trucizny? — badał podstępnie sędzia śledczy.

Doktor oddychał ciężko, czoło pokrył mu perlisty pot.

— Pan będzie musiał potem potwierdzić swe

zeznania przysięgą, — zauważył sędzia, widząc jego wahanie.

— Wiem o tem i zdaję sobie z tego dokładnie sprawę, — odpowiedział badany szybko; — jeśli jednak mogę być zmuszony do mówienia prawdy, to nikt nie może nakłonić mnie, abym tak łatwo i z lekkiem sercem zeznawał to, co może zaszkodzić osobom, które cenię i szanuję.

— W tym wypadku ma pan racyę, — zawołał sędzia.

Zręczny prawnik zrozumiał go doskonale.

— Czy pan przypuszczał, że baronowa Wolfern zabrała truciznę z zamiarem samobójczym? – badał po chwili na nowo. — Ona zapewne musiała panu różne rzeczy mówić, a z nich mógł pan ocenić jej zamiary.

— Och! te w chwili wzburzenia powiedziane słowa, nie mogą być brane seryo, — odpowiedział pospiesznie lekarz. — Co człowiek nie czyni, gdy jest wzburzony?!

— To prawda! — potwierdził sędzia. — Przyznaję panu zupełną racyę. Przecież to zupełnie naturalne, że baronowa, której całe życie było jedną wielką tragedyą, dała się chwilami unosić rozpaczy. Tak było i wtedy wobec pana?

— Nie w tym sensie, aby baronowa mówiła coś jej niegodnego. Mówiliśmy tylko o prawach matki do dziecka. Dziecko należy z prawa Bożego i ludzkiego do matki, a prawo jej rozciąga się nawet na życie dziecka. Matka, oświadczyła wtedy baronowa, kocha swe dziecko tak bardzo, że byłaby z miłości gotowa zabić je, gdyby nie wzgląd na wiarę.

Sędzia śledczy nie spoczął, aż póki przez zręczne pytania nie otrzymał dokładnego objaśnienia o przebiegu owej rozmowy.

— To nie jest nic zasadniczego, ale w każdym razie ważne dla ocenienia ogólne sposobu myślenia oskarżonej, — usprawiedliwiał się. — A teraz jeszcze jedno pytanie: flaszeczka zawierała skoncentrowaną morfinę?

— Tak, panie sędzio.

— Wystarczającą ilość, aby tuzin ludzi wyprawić na tamten świat?

— O! z pewnością! była przeznaczona do zastrzyknięć.

Sędzia nakłonił jeszcze Roberta do tego, że ten dał mu ogólną charakterystykę baronowej. Tem samem utrwaliło się w doktorze przekonanie, że pomógł znacznie nieszczęśliwej. Kiedy jednak potem opowiedział dr. Ammarellowi przebieg przesłuchania, ten zapewnił go, dosyć zniechęcony, że podstępny badacz wyzyskał jego prostoduszność.

— Wszystko wydobył z pana, co chciał wiedzieć, — dowodził obrońca, trzęsąc głową. — Tego nam jeszcze trzeba było! Sprawa stała już i tak bardzo źle.

— Cóż ja mogłem innego zrobić? — bronił się Robert. — Muszę przecież odpowiadać zgodnie z prawdą?

— Zapewne, trzeba było jednak tak sprawą kierować, aby zapobiedz tylu pytaniom. Pan zachował się tak niezdecydowanie i z takiem wahaniem, że sędzia zaraz wiedział, kiedy pan chciał coś ukryć.

— Ciągnął on ze mnie wszystko, jak korkociąg, — westchnął doktor Burger. — Nim zdołałem sobie to uświadomić, już nakłonił mnie, abym mu opowiedział szereg faktów, które postanowiłem uprzednio stanowczo przemilczeć. Teraz widzę jasno, że ten sędzia miał z góry nakreślony cel, do którego konsekwentnie zmierzały wszystkie jego pytania. Ostatecznie winę ponosi Marga... pani baronowa sama, gdyż dlaczego przyznała się, skąd flaszeczka z morfiną pochodziła?

— Ona wiele popełniła takich niezrozumiałych, a nawet niemądrych czynów, — przyświadczył doktor Ammarell. — Nie wiem, jak sobie tłomaczyć jej zachowanie się. Cenię ją bardzo wysoko, podziwiam ją, ale w jej niewinność nie mogę uwierzyć, mimo, iż jestem jej obrońcą! W szeregu dowodów, nie brak ani jednego łącznika. Wolałbym, gdyby zechciała otwarcie przyznać się do czynu, gdyż wtedy, kto wie, czy nie dałoby się wobec dzisiejszego sposobu oceniania takich postępków przez sądy, osiągnąć zupełnego uwolnienia. Ale tak... — kręcąc niechętnie głową, zamilkł.

— Postępowanie takie nie jest wcale zgodne z jej charakterem, — dziwił się Robert. — Czyż nie byłoby przecież możliwem...

— Nie, nie, — przerwał adwokat. — Przecież ona sama w pierwszym momencie po śmierci dziecka przyznała się połowicznie do czynu.

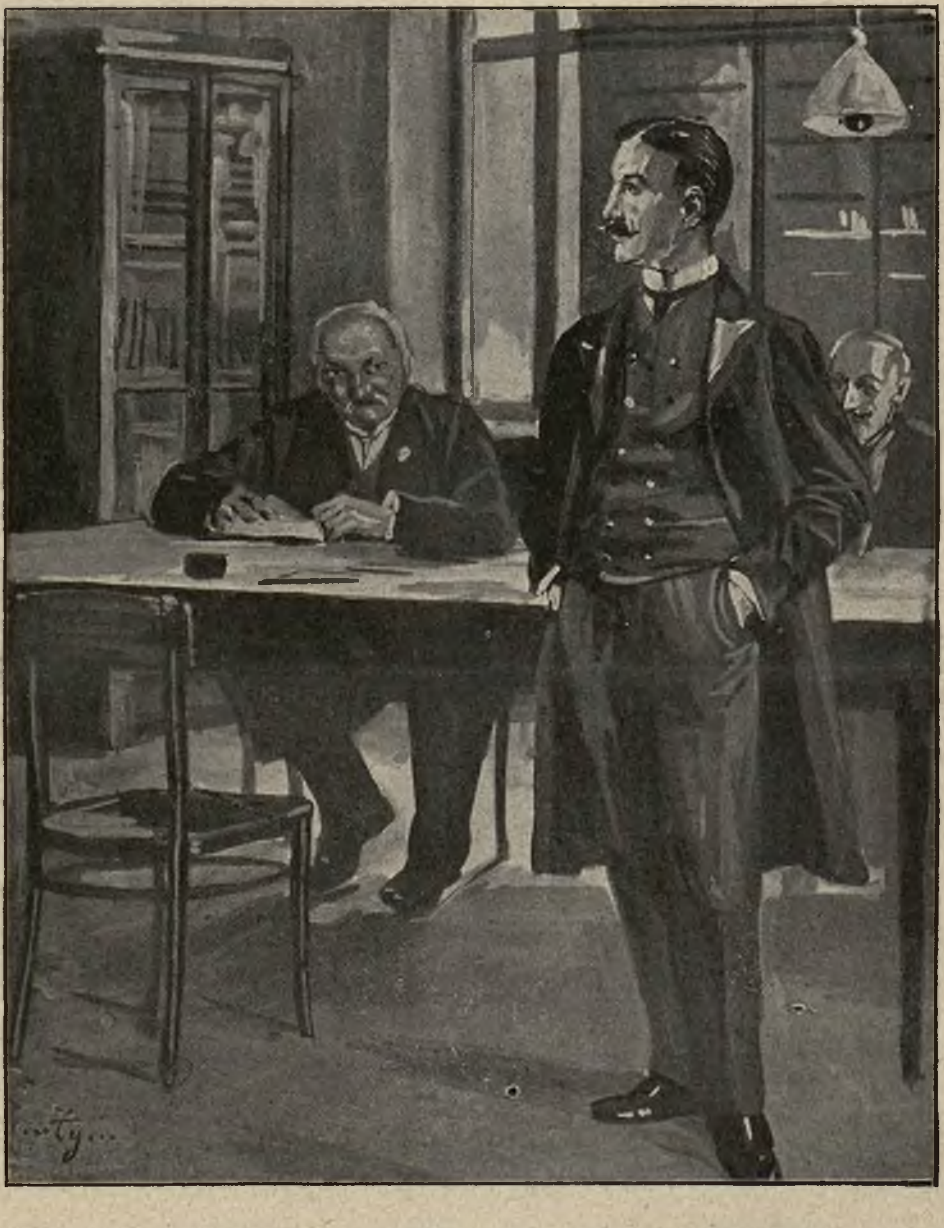
— Jakto?

— Jestem morderczynią, krzyknęła wtedy. Siostra Marya słyszała ten wykrzyknik. Obecnie stara się ona osłabić wrażenie tego okrzyku, ale w istocie to zaważył on ciężko na szali dowodów przeciwko niej.

Przybity, powrócił doktor Burger po tej rozmowie do swego zakładu.

ROZDZIAŁ XII.

Dziewięć uderzeń starego zegara sądowego, rozległo się głucho. Rozwarły się żelazne podwoje i jak



Zręczny prawnik zrozumiał go doskonale.

rzeka rozlała się gromada ciekawych po sali sądowej. Panuje tu nastrój bardzo uroczysty, ciemne portyery, zawieszone nad wielkiemi oknami, zdobnemi w kolorowe szyby, wpuszczają przyćmione łagodne światło do przestronej sali, za długim stołem, okrytym zielonem suknem, zasiedli sędziowie w czarnych swych strojach. Prokurator i obrońca stoją, rozmawiając z ożywieniem przy ławie oskarżonych.

W części sali, przeznaczonej dla publiczności, wre i kotłuje się jak w ulu. Jedni przyszli dlatego, że kierowało nimi współczucie dla oskarżonej, drugich zaś ściągnęła tutaj tylko żądza senzacyi.

— Wprowadzić oskarżoną! — rozległ się głos prezydenta sądu w sali. Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ucichły wszystkie szmery i nastała grobowa cisza. Marga Wolfern weszła, powoli postępując, jak aktor, który po raz pierwszy ma grać na scenie trudną rolę. Woźny sądowy przeprowadził ją aż do ławy oskarżonych, obok której stanęła, odwracając się od publiczności.

Przez salę przeleciał cichy, stłumiony pomruk podziwu na widok tej pięknej kobiety, której wdzięk idealny podnosiła jeszcze wielka bladość, wywołana wzruszeniem.

— Nie wygląda na żałującą grzesznicę, — szepnął sędzia śledczy, który brał udział w rozprawie, swemu sąsiadowi.

— Ona jest niewinna! — dały się słyszeć głosy wśród publiczności. Piękność oskarżonej wywarła bardzo korzystne wrażenie.

Doktór Ammarell podszedł do niej i rozmawiał z nią chwilę po cichu. Przerwał rozmowę głośny dzwonek przewodniczącego, a równocześnie rozległa się stereotypowa formułka:

— Otwieram posiedzenie sądu i rozprawę.

Marga zupełnie obojętnie wysłuchała początkowych formalności. Także w czasie wylosowywania przysięgłych siedziała spokojnie na ławce. Dopiero, kiedy prezydent zapytał ją, czy chce sama wybierać sędziów przysięgłych, czy też pozostawia to swemu obrońcy, odpowiedziała cicho, ale stanowczym głosem: „Tak!“

Słodki dźwięk jej głosu ujął jej również serca obecnych, podobnie jak i pełne godności zachowanie się. Raz tylko zauważyć można było u niej pewien niepokój. Kiedy mianowicie wywołano świadków, aby stwierdzić ich obecność, wzrok jej spotkał się z oczami dr. Burgera. Jakby bolesny skurcz przebiegł jej po twarzy. Robert zaś był bardzo wzruszony tem spotkaniem, a wzrokiem swym starał się powiedzieć jej wszystko, co czuł: swój szacunek dla niej, wiarę w nią i uczucie głębokiej przyjaźni.

Sekretarz trybunału odczytał akt oskarżenia. Oskarżał on ją o rozmyślne i uplanowane zabójstwo, a więc o mord. Marga wzdrygnęła się, gdy usłyszała donośnym głosem wypowiadane formułki ciężkiego oskarżenia. Wiedziała, że w tym wypadku nie wchodzą w rachubę okoliczności łagodzące. Jeśli by sędziowie uznali ją winną w myśl aktu oskarżenia, to mógł zapaść dla niej tylko wyrok śmierci.

— Co oskarżona może powiedzieć na swą obronę wobec wywodów aktu oskarżenia? — zwrócił się przewodniczący do Margi.

— Jestem niewinna, panie prezydencie! — odpowiedziała baronowa drżącym głosem.

— Zwracam oskarżonej uwagę, że przez swój upór obniża przychylny nastrój, z jakim trybunał i sędziowie odnoszą się do jej czynu. W dotychczasowej mej praktyce sądowej nie miałem jeszcze wypadku, aby wina była mniej jasno stwierdzona, jak w obecnem oskarżeniu, chyba, że oskarżony sam przyznał się do czynu, albo widziano go przy jego spełnianiu. Wszystkie dowody zwracają się przeciw pani i to jakie jeszcze. Im zaś przeciwstawia pani tylko gołosłowne zaprzeczenie; któż wobec tego będzie się namyślał, komu przyznać racyę?

— Panie prezydencie, czy mogę przyznać się do czynu, którego nie popełniłam?

— Nie, — i nawet tego pani czynić nie powinna. Jeśli go jednak pani spełniła, w takim razie w obecnym wypadku byłby to czyn, który przez zapieranie się go, staje się mordem, podczas gdy przyznanie się do niego i wyłuszczenie motywów, które panią kierowały, nadały by mu pozory szlachetności, nawet wtedy, gdybyśmy poglądy pani, które panią do czynu pobudziły, uważali za fałszywe.

— Uznaję to równie szczerze, jak pan, panie prezydencie. Niech mi pan wierzy, — zawołała Marga silnym głosem, a policzki jej zarużowiły się aż po skronie, — jeślibym znalazła dość odwagi i siły, aby taki czyn popełnić, to znalazłabym jej również dosyć na to, aby otwarcie do niego wobec ludzi się przyznać. Nie ziemskiej kary obawiam się, ale stokroć więcej wyroku mojego sumienia. Przyznaję szczerze i otwarcie: w tych warunkach, w jakich żyłam, było dla matki strasznem, widzieć swe dziecko takiem. Ale jeśliby nawet przyszła mi była taka myśl, wiara moja była tak silną, że nie mogłam zabić mego dziecka, które kochałam każdem drgnieniem mego serca. Przecież to było moje dziecko!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zgon znakomitego historyka.

W ubiegłym tygodniu nadeszła z Odessy smutna wieść o śmierci nestora naszych historyków, ś. p. Aleksandra Jabłonowskiego, który bawił tam celem poratowania zdrowia.

Ś. p. Aleksander Jabłonowski urodził się w r. 1829 w Goźlinie w ziemi Czerskiej, młodość spędził częściowo na Mazowszu, potem na Podlasiu, dokąd przenieśli się rodzice. Po ukończeniu szkół w Drohiczynie i Białymstoku, w r. 1847 wstąpił na wydział historyczno-filozoficzny uniwersytetu w Kijowie, gdzie oddał się studyom slawistycznym i badaniom dziejów i języka Ukrainy. Następnie przeniósł się do Dorpatu.



Zgon znakomitego historyka: Ś. p. Aleksander Jabłonowski.

Ukończywszy tam w r. 1852 studya, rozpoczął podróż naukową po Słowiańszczyźnie, oddając się równocześnie zawodowi nauczycielskiemu. W tym okresie powstały pierwsze jego prace: „O prowincyonalizmach w dawnej Polsce“ i „Rodzina w Polsce, jej rozwój historyczny“.

W r. 1859 udał się do Berlina na dalsze studya nad historyą powszechną, następnie do londyńskiego British Museum, stąd zaś do Brukseli, gdzie zawiązał znajomość z Joachimem Lelewelem, wreszcie do paryskiej Sorbony.

Później bawił w Pradze, we Wiedniu uczęszczał na wykłady Miklosicza, zwiedził Zagrzeb, Rjekę i Diakowar, zapoznając się z działalnością biskupa Strossmajera, następnie zaś Włochy, Grecyę, Turcyę i południową Słowiańszczyznę, której szczególniejszą poświęcił uwagę.

Powróciwszy do kraju bawił krótki czas w Warszawie, następnie od r. 1861—1867 na Ukrainie, gdzie poświęcił się nauczycielstwu, nie zaniedbując jednak pracy naukowej. Prowadził tu dalsze studya na temat rodziny w Polsce i opracował „Koleje dziejowego zrzeszenia się Słowian“.

W r. 1867 przebywał w gubernii penzeńskiej, badając tamtejsze stosunki, w r. 1868 powrócił do kraju i osiadł na stałe w Warszawie, skąd odbywał dalej częste podróże po Europie, Azyi i Afryce.

W Warszawie rozpoczął swą działalność od współpracownictwa w różnych czasopismach, między innemi w Atheneum, którego był jednym z założycieli. W latach 1870—75 drukował szereg studyów i opisów podróży, następnie wraz z Adolfem Pawińskim podjął prowadzenie wydawnictwa archiwaliów, p. t. „Źródła dziejowe“.

W wydawnictwie „Teki Pawińskiego“ brał żywy udział, pracami swemi zasilał też liczne czasopisma naukowe lwowskie i warszawskie, Słownik geograficzny i Wielką Encyklopedyę.

Na zjeździe historyków polskich we Lwowie w r. 1890 wystąpił z pracą: „Wołoszczyzna, Mołdawia a Multany“, w dziesięć lat później w Krakowie z olbrzymim „Atlasem historycznym wschodnich dzielnic Polski“.

W uznaniu zasług naukowych krakowska Akademia mianowała go swym członkiem czynnym, w Warszawie piastował godność prezesa Towarzystwa naukowego. Ponadto różne towarzystwa zagraniczne powołały go w poczet swych członków.

Do ostatniej chwili życia pracował ś. p. Jabłonowski niestrudzenie w umiłowanym przez siebie kierunku, dopiero nieubłagana śmierć wytrąciła pióro z rąk tego nestora polskiego dziejopisarstwa.

Cześć Jego pamięci!

Wyścigi konne w Przemyślu.

Corocznie we wszystkich miastach, gdzie stoją załogą pułki kawaleryi, odbywają się wyścigi konne, w których biorą udział zarówno oficerowie, jak i żołnierze. Takie wyścigi wojskowe, którym publiczność z wielkiem zajęciem się przypatruje, odbyły się niedawno w Krakowie i we Lwowie, a w dniu 23 b. m. w Przemyślu, gdzie do zawodów stanął 5 pułk dragonów.

W pierwszych trzech biegach pierwszym przybył do mety porucznik Wrażda, w czwartym rotmistrz ks. Thurn, a w piątym — chorąży ks. Solms-Braunfels.

Biegi oficerskie były przeplatane trzema biegami żołnierzy i podoficerów.

Ostatni prezydent ministrów Napoleona III.

W St. Gervais les Bains zmarł ostatni prezydent ministrów Napoleona III. Emil Ollivier. Był to jeden z najgłośniejszych mężów stanu za drugiego cesarstwa. Z zawodu prawnik, w roku rewolucyjnym 1848 był prefektem Marsylii, a od roku 1859 członkiem Zgromadzenia narodowego i jako taki zwrócił na siebie w roku 1869 powszechną uwagę broszurą, w której wykazywał możność konstytucyjnego cesarstwa i stanąwszy na czele nowego „stronnictwa środka“ stał się główną podporą rządu cesarskiego. W roku 1870 objął prezydyum gabinetu i opracował na życzenie cesarza nową ordynacyę senatu, która została zatwierdzona drogą plebiscytu. Wobec zatargu z Niemcami, należał do najgorliwszych zwolenników wojny i oświadczył, że z „lekkiem sercem“ może wziąć odpowiedzialność za nią. Wobec niepowodzeń wojennych, otrzymał w Izbie wotum nieufności, podał się do dymisyi i opuścił Francyę, aby powrócić do niej dopiero w r. 1872. We Francyi republikańskiej nie brał czynnego udziału w ruchu politycznym, znienawidzony jako rzekomy sprawca wojny, do której cesarstwo nie było przygotowane.



Ostatni prezydent ministrów Napoleona III.: Zmarły we Francyi Emil Ollivier.



Wyścigi konne w Przemyślu: Trybuna sędziów. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Kronika tygodniowa.

No i pokazało się, że miałem racyę, gdym w ubiegłym tygodniu przepowiadał trwałą niepogodę, stało się bowiem zupełnie inaczej. Jakby na złość, referent od pogody, przeczytawszy moje wywnętrzenia i deszczowe proroctwa, uśmiechnął się złośliwie i zakręcił kurek od niebieskiej wilgoci.

Sądził, że wziął mnie na kawał, stało się jednak odwrotnie, przyznam się bowiem, że byłem prawie przekonany, iż nareszcie będziemy już mieć stałą pogodę, a owa wzmianka o strzykaniu w kolanie była tylko fikcyą. Od czasu, gdy małżonka moja bawi na willegiaturze, czuję się zdrów, jak ryba i nic mi nie dolega.

W związku z memi prognozami meteorologicznemi stoi list, który onegdaj otrzymałem od jednego z przyjaciół politycznych.

Brzmi on, jak następuje:

„Kochany Kronikarzu!

Ani przypuszczałem, iż posiadasz tyle zdolności, jeśli już nie na austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, to bodaj na wybitnego dyplomatę. Przekonałem się o tem z ostatniej kroniki, w której z zupełną stanowczością przepowiadasz dalszą słotę, a tymczasem, właśnie od dnia, w którym *Nowości* otrzymałem z poczty, pogoda, jak się patrzy.

Przypomniał mi się zaraz nasz sympatyczny hr. Berchtold, któremu, tak samo, jak Tobie, wiedzie się w polityce.

Przepowiadaj więc dalej deszcz, a będziemy Ci wdzięczni, gdyż moja stara miała już z powodu niepogody wrócić pod dach rodzinny, tymczasem zawiadamia mnie, że postanowiła przedłużyć swój pobyt, jak długo aura dopisze.

Daj Ci Boże zdrowie!

Twój oddany

X. Y.“ *(nomina sunt odiosa!)*

Ma racyę ów jegomość, razem z hr. Berchtoldem poszkapiliśmy się, jak się patrzy. Nie myli się także, sądząc, iż nadawałbym się doskonale do kierowania naszą zagraniczną polityką, do tego bowiem trzeba być usposobionym po węgiersku, ja zaś bardzo lubię gulasz węgierski, rozbratla Esterhazy i słoninę paprykowaną, co pod przysięgą stwierdzić mogą tak wiarygodne osoby, jak pan Edwin i Władysław z handlu „pod Obrazem“.

Doszło do tego, że jedno z pism niemieckich, zawiadamiając swych czytelników o uspokojeniu półwyspu Bałkańskiego, dodaje od siebie z przekąsem: Ciekawi jesteśmy, gdzie też teraz znajdą nasi politycy pole do zblamowania się na nowo?

Nie mają przecież słuszności, rzucając na hr. Berchtolda kamieniem potępienia, dzięki jego bowiem polityce została nam wyspa Ada Kaleh, jak się zaś dowiadujemy, nie wyjdzie Austrya z próżnemi rękami i z okazyi podziału Sandżaku Nowobazarskiego. Połowę wezmą sobie Serbowie, drugą Czarnogórcy, nam dostanie się... figa!

Z informacyi pism politycznych należałoby wnosić, że pokojowi europejskiemu nic już nie zagraża, gdyż najwybitniejsi dyplomaci, Sazonow i Delcasse, wyjechali na urlop, wywczasów wakacyjnych używa także poseł Ugron i Hartwig z Belgradu. Byłby to nawet wstyd, gdyby w chwili obradowania w Hadze kongresu pokojowego miała gdzie wybuchnąć wojna.

Turcy tymczasem zabrali sobie Adryanopol i powiadają, że stąd się nie ruszą, choćby cała Europa tego żądała. Grozi im dyplomacya finansowem wygłodzeniem, śmieją się z tego, wiedząc, że potrzebni są nad Bosforem do utrzymania równowagi politycznej, zginąć im więc nie pozwolą.

Swoją drogą z tym Adryanopolem udało im się, jak to powiadają „jak ślepej kurce ziarnko“. Już, już wybierali się z Europy, jegomość sułtan podniósł żupan i zakasał hajdawery, by przebrnąć przez morskie odmęty i szukać schronienia w Azyi, jednak rozmyślili się i wrócili.

To dało sposobność jednemu z naszych polityków knajpkowo-pilznerowych do bardzo dowcipnej alluzyi.

Roztrząsaliśmy właśnie zawiłe kwestye dyplomatyczne, gdy wtem on odezwał się do mnie w te słowa:

— Wie, kochany pan, z czem możnaby porównać powtórne zajęcie Adryanopola przez Turków?

— Nie, czcigodny radco dobrodzieju!

— Z niespodzianką, jaką staremu mężowi robi młoda żona, obdarzając go potomkiem... Ta jednak zachodzi mała różnica, że Turkom w tym wypadku rzeczywiście nikt nie pomagał!...

— Racya! Święte słowa!...

Nie wiemy na razie, jak się tam na dole ułożą stosunki, zdaje mi się przecież, że trzecia wojna bałkańska jest już wykluczona. Turcya i Bułgarya zrobią ze sobą, jak to mówią *„Vergleich“* i wszystko będzie dobrze. Ubije się sprawę krakowskim targiem. Powiadają, że Bułgarzy mają zamiar zrezygnować z Adryanopola, a zamiast tego zadowolić się Kirkkilissem.

Walczące strony zajmą się teraz naturalnie sanacyą swych stosunków finansowych, które są barbarzyńsko opłakane. W tym względzie pójdą niezawodnie starą utartą drogą i zaczną się oglądać za pożyczką, widzimy zaś, że im państewko mniejsze, tem większą chciałoby zaciągnąć.

Mocarstwa europejskie nie mają nic przeciw temu, by zrealizować u siebie pożyczkę, albo bodaj objąć za nią porękę, w ten sposób bowiem uzyskuje się wpływ na odnośne państewko, władcy bałkańscy rozglądają się też wokół i pytają: Kto da więcej?

Znamienny zwrot zaszedł też we wzajemnym stosunku Serbii i Austryi, które, jak wiadomo, darły dotąd koty ze sobą...

Serbski organ rządowy *Samouprawa* pisze w artykule wstępnym, że stosunki Serbii do Austryi były zawsze bardzo poprawne, zamącała je zaś tylko nieprzychylna Serbii prasa austryacka i węgierska. Serbowie spodziewają się obecnie, że przemienią się one na trwałą przyjaźń sąsiedzką.

Jest to dowód, że Serbia zaczyna robić do Austryi „perskie oko“, widząc w tem swój interes, nasi politycy powinni skorzystać ze sposobności i złotym łańcuchem przykuć ją do swego rydwanu... Jeśli tego teraz nie zrobią, powiem im, że są *granda fujaro* i raczej łuskać im bób pod stodołą, niż robić wielką politykę, na której się nie znają.

Bułgarya jest w tem samem stadyum, król Nykita czarnogórski czeka także na miliony, które mu obiecano za ewakuacyę Skutari, Rumunia odezwała się też po przyjacielsku, a przypieczętował wszystko swym toastem cesarz Wilhelm, wobec czego stwierdzam niniejszem, że pokój będzie, ponieważ zaś jest pogoda (bym tego nie powiedział w złą chwilę!...) można naprawdę zacząć myśleć o spóźnionych wakacyach.

Dawniej austryaccy politycy kończyli je w dniu 18 sierpnia, w tym roku o tej porze na nowo je zaczynają, po odbyciu bowiem jednego posiedzenia w dniu owym i spożyciu kolacyjki, na którą ze staropolską gościnnością zaprosił ich ekscellencya Długosz, rozjechali się panowie ministrowie znów w różne strony.

Taki kolega minister, choć bez teki, ale zato z wyrobionym smakiem, dobrym apetytem, a co najważniejsza, z należycie wypchaną kabzą, to nabytek, w każdym gabinecie bardzo pożądany, nie należy więc wątpić, że, choćby nawet pan Stürgkh podał się do dymisyi, kolegę Długosza, wraz z ministrem obrony krajowej, odda niezawodnie swemu następcy.

A zanosi się na to, spór czesko-niemiecki zaostrza się bowiem coraz bardziej, a Czechy stoją w przededniu finansowej ruiny. (Coś podobnego czeka i Galicyę, jeśli nie przeprowadzi się reformy wyborczej). Jak dotąd, podobno już sześć tysięcy nauczycieli bez posad zaczęło przymusową głodówkę... Na żadne ustępstwa dla Czechów nie chcą się Niemcy zgodzić, grożąc w przeciwnym razie gwałtowną obstrukcyą.

Biedna ta Austrya! Jest to kraj z ludnością przeważnie słowiańską, którą za nos wodzą Niemcy, a na zewnątrz nadają ton Węgrzy, kraj rolniczy, gdzie jednak dla tego rolnictwa nic się nie robi, jednem słowem osobliwość, nadająca się na wystawę... bodaj choćby adryatycką, która z powodu deficytu ledwie robi bokami.

W chwili, gdym kronikę doprowadził do tego miejsca, niebiosa zaciągnęły się stalowemi chmurami i wylały na przemokniętą już i tak ziemię całe strumienie dżdżu.

Widzę, że do meteorologicznych przepowiedni nie mam absolutnie szczęścia i przysięgam... na wierność małżeńską, że się w tego rodzaju proroctwa bawić już nigdy nie będę.

Raczej poświęcę swe kronikarskie pióro sportowi, zwłaszcza, że zaczyna się nowy sezon piłki nożnej, zapowiedziany bardzo hałaśliwie nawet przez tak poważny organ, jakim jest nasz sympatyczny starowina, *Czas*.

Ja tam do piłki nożnej nie mam nabożeństwa, od pewnego czasu jestem natomiast zawołanym tatarnikiem. (Nie z zamiłowania!... Broń Boże!... Z konieczności!) Odkąd rozkopano nam prawie wszystkie ulice, prowadzące do Rynku, lub zasypano je całemi górami piasku i kamieni, spinamy się i drapiemy po tych Gewontach, a sekcya skarbowa Rady miejskiej, zastanawia się, czyby przypadkiem na wzór Zakopanego nie pobierać od mieszkańców miasta taksy klimatycznej.

To rozkopanie wpłynęło także bardzo dodatnio na ruch umarłych, zwłaszcza w śródmieściu, skąd dostęp na cmentarz rakowicki jest prawie uniemożliwiony. Kto po długich a dolegliwych cierpieniach przeniósł się *ad patres*, dopiero po uciążliwych a bezcelowych wędrówkach może się dostać na miejsce wiecznego spoczynku.

Wobec tego fizykat wzywa ludność miasta Krakowa, mającą chęć umrzeć w tym czasokresie, by to odłożyła na później.

Aby nam się nie przykrzyło, będziemy mieć wkrótce wybory, wprawdzie nie w samym Krakowie, ale w przyłączonem do nas Podgórzu. Bochnia, Wieliczka i Podgórze mają wybrać posła do parlamentu w miejsce p. namiestnika Korytowskiego, chcą jednak w swem demokratycznem uniesieniu upolować znowu jakąś ekscellencyę, albo bodaj kandydata na nią. Szanse dra Bobrowskiego, wysuwanego przez partyę socyalno-demokratyczną, są, jak dotąd, słabe.

W każdym razie kiełbasa wyborcza (do parlamentu musi być kiełbasa, do sejmu wystarczy gulasz!) pójdzie w ruch.

Wybory rozpisano gdzieś na koniec września, możemy więc na razie dać im spokój, zwłaszcza, że właśnie na obecną porę przypada druga rocznica kradzieży słynnej Giocondy z muzeum Luwru w Paryżu. Przypominają o tem pisma francuskie, które ubolewają, że energicznej władzy nie udało się dotąd wpaść na trop sprawców.

W tem samem mniejwięcej położeniu jesteśmy i my, gdyż o sprawcy, czy sprawcach morderstwa na osobie ś. p. Sienickiej ze Szlaku dotąd ani słychać.

Podobno z tego powodu krakowskie i paryskie władze bezpieczeństwa wymieniły onegdaj depesze kondolencyjne.

Za prawdziwość tej wersyi nie ręczę.

Do czego doprowadzić może lekkomyślność i próżniactwo, widzimy to na Francyi, skoro już o niej mowa.

Wobec bezskutecznych zabiegów o zwiększenie naturalnego przyrostu ludności, rodzą się ciągle coraz to nowsze projekty, aby przy pomocy nacisku podatkowego zmusić Francuzów do wydatniejszej pracy na tem polu.

Francya liczy obecnie półtora miliona mężczyzn nieżonatych, prawie dwa miliony małżeństw bezdzietnych, dwa i pół miliona z jednem dzieckiem, około trzech milionów z dwoma.

Wobec tego małżeńskiego bezrobocia proponują, by każdy Francuz, pod groźbą egzekucyi, obowiązanym był do założenia ogniska domowego, w które ma tak długo dmuchać, dopóki nie wychowa troje dzieci.

Kto ukończył lat 45 a nie uczynił zadość temu obowiązkowi, ma płacić za każde brakujące dziecko po 30 franków podatku rocznego. Wedle obliczeń przyniesie to rocznie pół miliarda. Suma ta użytą ma być na pokrycie kosztów trzyletniej służby wojskowej.

Bardzo pilne małżeństwa, mogące się wykazać więcej, niż trzema wrzeszczącemi pociechami, otrzymają ze skarbu państwowego osobne gratyfikacye, lub na żądanie ordery.

A może u nas dałoby się coś podobnego zaprowadzić?

Polskie niebezpieczeństwo jakoś Niemcom spać nie daje. Dowodem tego nowa broszura pułkownika „Cardinal v. Widdern“ (po polsku: Kardynał od baranów), autora wydanej przed laty publikacyi p. t. „Śpiące wojsko polskie“.

Przypomniał się znowu swym rodakom obrońca zagrożonej rzekomo niemczyzny broszurą p. t. „Zur Polenfrage“ wydaną w Lesznie. Tym razem solą w oku jest dlań dorobek kulturalny i ekonomiczny narodu polskiego pod zaborem pruskim.

Widać z tego, że tak źle nie jest jeszcze z nami, skoro nas się boją.

Rozpoczęcie nowego sezonu teatralnego w Krakowie.

Po długiej wakacyjnej przerwie, powrócił do gmachu na placu św. Ducha dramat krakowski — po muzie wesołej i rozśpiewanej, muza tragiczna. Przybył dramat w odnowionym w części składzie personalnym i pod nowem kierownictwem nowego dyrektora i dzierżawcy teatru krakowskiego, p. Pawlikowskiego.



Rozpoczęcie sezonu teatralnego w Krakowie: Tadeusz Pawlikowski, nowy dyrektor teatru krakowskiego.

Na razie wstrzymujemy się od omówienia zarówno zmian w personalu, jak rezultatów nowego kierownictwa — do tego bowiem kilka dopiero przedstawień ze zwykłego repertuaru patryotycznego „dla przejezdnych“ zbyt mało dają materyału. Zresztą pomiędzy kilkoma nowozaangażowanemi siłami, znajdują się także dawni i dobrzy znajomi Krakowa, jak p. Andrzej Mielewski, a dyr. Pawlikowski i jego program i działalność artystyczna, także nie jest dla podwawelskiego grodu „białą kartą“. Z imieniem dyr. Pawlikowskiego związana jest jedna z najświetniejszych kart dziejów teatru krakowskiego i opinia publiczna spodziewa się, że okres, który się obecnie rozpoczyna, wskrzesi te tradycye.

Naokoło sprawy teatru krakowskiego niedawno, gdy ustępował dyr. Solski, a objąć miał kierownictwo dyr. Pawlikowski, żywa i wyczerpująca toczyła się w pismach polemika. Streszczając ją, powiedzieć można, iż po dyrektorze Pawlikowskim wszyscy spodziewali się, że podniesie poziom artystyczny i utrzyma jednolitość kierunku repertuaru, że naszej wielkiej poezyi dramatycznej, równie jak wielkiej poezyi dramatycznej obcej należne w tym repertuarze da miejsce. My się z temi nadziejami łączymy, ufni, że ich przyszłość nie zawiedzie. Zwracamy także uwagę publiczności Krakowa, że kierownictwo dyr. Pawlikowskiego oznacza stworzenie w czasie niedługim drugiej sceny „ludowej“ w Krakowie, dyr. Pawlikowski bowiem z własnej inicyatywy powziął w tym kierunku zobowiązania i teatr ludowy do roku będzie zorganizowany.

Życzeniami najlepszego powodzenia dyr. Pawlikowskiemu w jego przedsięwzięciach, podjętych na chwałę polskiej sztuki dramatycznej, witamy rozpoczęcie nowego sezonu teatralnego.



Teatr Turskiego na prowincyi: Grupa artystów i artystek z dyrektorem Turskim (X).

Teatr Turskiego na prowincyi.

Wśród autorów ludowych zajął w ostatnich czasach poważne miejsce znany aktor p. Stefan Turski. Spopularyzował on swoje stanowisko literackie w szerokich masach znaną i lubianą sztuką „Krowoderskie zuchy“, która obiegła całą Galicyę, w Krakowie osiągnęła niebywałą ilość przedstawień, gdyż przeszło sto i do dzisiaj utrzymuje się z powodzeniem w repertuarze ludowym scen warszawskich.



Egzotyczna premiera: „Sumurun“ w Teatrze Nowości w Warszawie. (Fot. M. Sztyblewski, Warszawa).

Pan Turski podjął się poza swą działalnością pisarską innej jeszcze ciekawej imprezy. Mianowicie dla wystawiania swych sztuk organizuje już drugi raz własną trupę i z nią objeżdża miasta w Galicyi, ciesząc się wszędzie sympatycznem przyjęciem.

W najbliższych dniach dwa nowe utwory tego



Bal pierrotów w Zakopanem: Grupa uczestników i uczestniczek zabawy.

popularnego autora ujrzą światło kinkietów. Premiery dane będą w Krakowie.

W pierwszy dzień ujrzymy dalszy ciąg „Krowoderskich zuchów", p. t. „Wojna z babami". — W dowcipnych i pełnych humoru scenach ścierają się „Gzymsiki" z miejskiemi paniami. Panami sytuacyi zostają na placu boju „Gzymsiki".

Druga sztuka, „Konkury Antka", które ujrzymy w drugim dniu, są ciętą satyrą na polowanie za złotymi kołnierzami. Autor pysznie przedstawia typ urzędnika na wyższem stanowisku, który choć chodzić już nie może, lecz jest świetną partyą. Naturalnie zwycięża zasada, że „młodzi z młodymi".

Personal od tygodnia pod kierownictwem autora pracuje nad próbami. Główne role objęli: pp. Rozwadowska, Gajewska, Bończa, Trojacka, Szkudelski, Greczyński, Byszczyński, Bienin, Łuszczewski. Są to przeważnie nasi dawni znajomi z teatru ludowego. Tytułową rolę „Antka" i „Felka Gzymsika" odegra autor Stefan Turski.

Dnia 1 września Turski wyjeżdża do większych miast Galicyi, gdzie da szereg przedstawień. Kolejno teatr Turskiego odwiedzi: Tarnów, Nowy Sącz, Dębice, Rzeszów, Jasło, Krosno, Gorlice, Strzyżów, Sanok, Sambor, Drohobycz, Borysław, Stryj, Stanisławów, Kołomyję i t. d.

Podajemy w dzisiejszym numerze grupę aktorów teatru Turskiego.

Egzotyczna premiera.

Baśń wschodnia z „Tysiąca i jednej nocy", opowieść o miłości i zazdrości — bez słów, jedynie



Wyścigi konne w Przemyślu: Branie przeszkód przez podoficerów. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

gestami i mimiką, przepychem barwnych dekoracyj i malowniczymi obrazami scen, tańcami i muzyką wypowiedziana — taka jest ostatnia nowość w dziedzinie teatru, którą słynny Reinhardt w Berlinie skomponował, w Londynie i Nowym Jorku z olbrzymiem powodzeniem wystawił, a jego uczeń p. Ordyński przeniósł do warszawskiego teatru „Nowości". Jak w innych stolicach, tak i tu gromadzi ten mimodram operowy tłumy, których fantazyę rozpłomieniają dziwy i czary tajemniczego, namiętnym żarem i leniwą zmysłowością naprzemian dyszącego Wschodu, na scenie europejskiej plastycznie przed-



Jubileusz czterdziestoletniej pracy: Uroczystość jubileuszowa na cześć p. Józefa Kericha, wicedyrektora fabryki wyrobów platerowanych braci Hennebergów w Warszawie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

stawione i w świetle kinkietów ze spotęgowaną działające siłą.

Ta baśń wschodnia wypadła na scenie warszawskiej przepysznie. Grali w niej bez słów tacy znakomici artyści, jak komik Morozowicz, pan i pani Osterwowie w dwu głównych rolach (Sumurun i jej mąż-kochanek), namiętną i zmysłową tancerkę wschodnią młodziutka, lecz niezwykle utalentowana i już znana artystka Pola Negri, p. Gnatowska, Knake-Zawadzki (młodszy). Sam reżyser p. Ordyński kreował większą rolę garbusa. Tło oryentalne bajki doskonale zostało uwydatnione, harem i odaliski, zebrane na scenie „Nowości", mogłyby stanowić przedmiot zazdrości niejednego sułtana. Przewinął się przed oczami Warszawian cały kalejdoskop życia Wschodu, tak znany z bajek, — bazary, szeikowie, kadi. Jeżeli dodamy, że przy pulpicie orkiestry w roli kapelmistrza, wystąpiła — kobieta, lwowianka p. Anda Kitschmanówna — to zrozumiemy, że wszystkie momenty oryginalności, egzotyczności, malowniczości — połączyły się, aby zapewnić temu niezwykłemu widowisku powodzenie.

Jubileusz czterdziestoletniej pracy.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie rzadki w dzisiejszych czasach obchód jubileuszu czterdziestoletniej pracy w tej samej firmie.

Jubilatem tym był pan Józef Rerich, wice-dyrektor znanej fabryki wyrobów platerowanych i bronzów braci Henneberg.

Zamieszczona w niniejszym numerze fotografia przedstawia chwilę, gdy szef firmy wznosi toast na cześć jubilata, wręczając mu równocześnie cenny dar pamiątkowy i przekaz na emeryturę.

W imieniu kolegów zawodowych, redaktor „Handlowca" p. J. Karasiński ofiarował jubilatowi pamiątkową laskę, zaopatrzoną facsimilami całego personalu.

Bal pierrotów w Zakopanem.

Rozpaczliwie wlokący się z powodu beznadziejnej słoty tegoroczny sezon wakacyjny w Zakopanem, skazał letników tamtejszych na spędzanie czasu przeważnie w murach pensyonatów i zakładów, które zresztą w tym roku niepamiętną poniosą klęskę finansową. To też usiłowania właścicieli hoteli i pensyonatów wytężały się usilnie w tym kierunku, aby



Dramat w pociągu: Ofiara zamachu, p. Helena Tuchowicz, nauczycielka z pow. drohobyckiego.

gościom swoim dostarczyć jak najwięcej rozrywek towarzyskich i umysłowych. W żadnym z lat poprzednich nie odbyło się w Zakopanem tyle odczytów, zabaw, koncertów i kabaretów, co w rozpłakanym roku bieżącym.

Najwięcej w tym kierunku zdziałał zakład dra Chramca, który od lat wielu, dzięki zapobiegliwości i przedsiębiorczości swego właściciela i gospodarza, stał się ogniskiem, skupiającem życie towarzyskie i kulturalne uzdrowiska podtatrzańskiego. We wspaniałych salonach zakładu odbywały się nieprzerwanie przez cały lipiec i sierpień odczyty, zabawy towarzyskie, przedstawienia amatorskie, koncerty, reuniony i kabarety, które nie tylko mieszkańcom zakładu i pensyonarzom dra Chramca urozmaicały pobyt w Zakopanem, ale ściągały także licznych gości z poza zakładu. Jedną z najświetniejszych zabaw, która na długo zapisze się w pamięci uczestników, był urządzony w dzień 17 bm. „bal pajaców", z którego dochód przeznaczony był na rzecz bursy gimnazyalnej w Nowym Targu. Pierwsza część



Wyścigi konne w Przemyślu: Branie przeszkód przez oficerów.

tej zabawy, przeznaczona dla dzieci, odbyła się w godzinach popołudniowych, wieczorem zaś przyszli do władzy starsi. Był to prawdziwie czarodziejski wieczór. Dawno już nie widzieliśmy w Zakopanem razem zgromadzonych tylu pięknych pań i panien, które w efektownych, barwnych, a bynajmniej nie zbytkownych kostyumach, stworzyły najpiękniejszy dla oka obraz.

Plotka miejscowa mówi, że wieczór ten pamiętny związał wiele serc i skojarzył kilka małżeństw na najbliższą przyszłość. Wesołe grono pierrotów i pierrotek zakończyło po północy świetną zabawę czarodziejskim pochodem przy świecach, gdy z rozkazu wyższej władzy lekarskiej padło hasło zakończenia zabawy. Dochód z tej zabawy przyniósł sympatycznemu i humanitarnemu celowi 400 z górą koron.

Dramat w pociągu.

W pociągu idącym z Sambora do Lwowa, tuż przed przybyciem do kresu podróży, urzędnik bankowy z Przemyśla, Lucyan P. strzelił dwukrotnie do panny Heleny Tuchowicz, nauczycielki z powiatu drohobyckiego.

Panna T. broczące krwią, z jękiem osunęła się na siedzenie przedziału, wówczas młody człowiek zwrócił rewolwer ku własnej piersi i zanim zdołano mu przeszkodzić, ozwały się dwa strzały, a on runął na podłogę wagonu.

Jadących ogarnęło przerażenie.

Na dworcu we Lwowie sprowadzono lekarza, który opatrzył ofiary. Rana panny T. okazała się lekką, pierwszy strzał bowiem chybił, drugi zaś przeszył tylko jej rękę, którą się machinalnie zasłoniła. Bohater dramatu, odwieziony do domu matki, zamieszkałej we Lwowie, zmarł w kilka godzin po wypadku.

Motywem szalonego czynu młodego człowieka była nieszczęśliwa miłość.

Nauczycielstwo ludowe podczas wakacyi.

(Do illustracyi na str. 4).

Przypatrując się życiu nauczycielstwa naszego podczas wakacyi, musimy stwierdzić, że spędza ono czas wakacyjny bardzo rozumnie i pożytecznie. Kilkuset nauczycieli przygotowuje się do egzaminów kwalifikacyjnych na październik, dwustu uzupełnia wykształcenie ogólne i zawodowe na kursie uniwersyteckim w Zakopanem, urządzonym staraniem Związku polskiego nauczycielstwa ludowego, kilkudziesięciu bawi we Włoszech na wycieczce, prowadzonej przez ruchliwą sekcyę wycieczkową krakowskiego „Ogniska" Związku naucz., trzystu przygotowuje się do egzaminów wydziałowych na kursie wakacyjnym we Lwowie, urządzonym przez lwowskie Ognisko związkowe, wreszcie kilkuset pełni służbę wojskową w rozmaitych większych miastach Galicyi.

W samym Lwowie odbywało podczas tegorocznych wakacyi jużto wykształcenie wojskowe, jużto ćwiczenia bronią, około dwustu nauczycieli-rezerwistów zapasowych, nie wliczając w to nauczycieli, służących przy obronie krajowej. Illustracya nasza przedstawia właśnie oddział nauczycielski rezerwistów, odbywający naukę i ćwiczenia we Lwowie. W oddziele tym znajdziemy nauczycieli z różnych stron kraju, z Sokala, Rawy-Ruskiej, Żółkwi, Jaworowa, Brzeżan, Złoczowa, Zbaraża, Tarnopola i z rozmaitych pułków, a mianowicie 15, 30, 55 i 80-tego. Zdjęcia grupy dokonano w podwórzu koszar miejskich przy ul. Pijarów 33, gdzie oddział był pomieszczony. W pośrodku siedzi komendant oddziału porucznik Kemmerling, obok po lewej stronie porucznik Wajda, a po prawej podporucznik Włodarski.

Prócz tego zamieszczamy grupę uczestników kursu wakacyjnego, urządzonego przez lwowskie „Ognisko", celem przygotowania nauczycieli do egzaminów wydziałowych.

Walka o Adryanopol.

Podczas układów pokojowych w Londynie Turcya tylko pod naciskiem mocarstw i w obawie dalszego pogromu zgodziła się na oddanie Adryanopola, którego zdobycie było znowu połączone z olbrzymim wysiłkiem i ofiarami państw bałkańskich. Dziś Turcy znowu zawładnęli Adryanopolem, a Bułgarya czyniła wysiłki dyplomatyczne i apelowała do mocarstw o pomoc, aby mogła odzyskać przyznane jej przez układ londyński miasto. Wszelkie te usiłowania nie wydały jednak pomyślnych wyników. „Europa", jak zwykle, nie może się zdobyć na solidarny i stanowczy krok, a inne państwa bałkańskie nie myślą bynajmniej popierać swej niedawnej sojuszniczki, i pozostawiły wyniszczoną Bułgaryę na łaskę Turcyi... Już podczas układów pokojowych w Bukareszcie zaznaczyło się wyraźnie, że państwa, które osaczyły Bułgaryę nawet po zawarciu pokoju nie tylko nie poprą jej w walce z Turkami, ale staną po stronie Turcyi... To też rozgromiona i osamotniona Bułgarya, która tyle ofiar poniosła dla zdobycia Adryanopola, musi zapewne zrezygnować z tej zdobyczy... Jak donoszą ostatnie wiadomości, rozpoczęły się już bezpośrednie rokowania pomiędzy Bułgaryą a Turcyą, co świadczy, że Bułgarya przestała już liczyć na interwencyę



Walka o Adryanopol: Uczestnicy konferencyi pokojowej w Bukareszcie przybywają do Belgradu. 1) Serbski prezydent ministrów Pasicz. 2) Grecki prezydent ministrów Venizelos. 3) Czarnogórski prezydent ministrów Wukoticz.

mocarstw i pomoc swych niedawnych sprzymierzeńców, którzy ją tak sromotnie opuścili.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy dwie illustracye z opanowanego znów przez Turków Adryanopola, oraz przybycie do Belgradu szefów rządu serbskiego, greckiego i czarnogórskiego, Pasicza, Venizelosa i Wukoticza, wracających z tryumfem po konferencyi w Bukareszcie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Szarada: Sarmata.

Trójkąt magiczny:

W	**i**	**ś**	**n**	**i**	**o**	**w**	**s**	**k**	**i**
I	n	s	p	e	k	t	o	r	
S	l	e	d	z	t	w	o		
N	a	t	a	l	i	a			
I	n	f	a	n	t				
O	b	r	a	z					
W	i	e	k						
S	e	t							
K	u								
I									

Przeplatanka:

	A		G		S	
A	l	z	a	c	y	a
	z		l		c	
G	a	l	i	c	y	a
	c		c		l	
S	y	c	y	l	i	a
	a		a		a	

Bilety wizytowe: Tyrol, Meran. Belgia, Ostenda. Galicya, Rymanów. Austrya Dolna, Baden.

Zadanie do przestawienia: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Przysłowiówka: Pozory często łudzą. Równy rad równemu

Zadanie do przestawienia: Każdy siebie ma na względzie, a drugiego za narzędzie.

Rebus: Długo myśleć i prędko działać człowiek rozumny powinien.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, S. Krzyżanowski Kraków, M. Arbesbauer Lwów, K. Rosenbaum Rozwadów, E. Niestenberger Lwów, J. Wilczkiewicz Lwów, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Galiński Sambor, J. Cisowski Warszawa, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, F. Blätterfeind Lwów, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Swirski Piotrków, D. Dorożyński Odessa, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, K. Szumańska Rawa Ruska, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, K. Misińska Złoczów, J. Sliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, W. Kalinowska Kalisz, K. Fuchs Czeremchów, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, J. Krawecki Przemyśl, F. Knopf Jarosław, H. Wysoczański Petersburg, H. Scholz Rozdół, A. Dużak Kraków, I. Solecki Kraków, M. Wyka Rzeszów, R. Madejski Lwów, J. Antosz Kołomyja, J. Jahoda Cieszyn, A. Gralewski Kraków, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, H. Topolnicki Kamieniec, H. Czyżewska Warszawa, S. Lipski Wiedeń, S. Rogaliński Warszawa, A. Balicki Stanisławów, K. Radoszewski Kolbuszowa, S. Osadowska Rzeczyca.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Karpowicz Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Dla pisma specyalnie poświęconego sportom gratkę nielada stanowił odbyty w miesiącu ubiegłym pierwszy wielki raid samochodowy po Królestwie Polskiem, nic też dziwnego, że temu wydarzeniu sportowemu, mogącemu mieć bardzo dodatnie znaczenie dla rozwoju przemysłu atomobilowego u nas, poświęciła redakcya „Lotnika i Automobilisty“ niemal cały ostatni zeszyt sierpniowy. Numer ten, obfitujący w wyczerpujące, z werwą kreślone opisy uczestników, komisarzy, sprawozdawców i t. p. stać się powinien miła pamiątką dla naszych sportsmanów, tem więcej, że zdobi go wielka ilość doskonale wykonanych, aktualnych illustracyi. Oprócz raidu oraz wycieczki „Warszawa-Łódź-Warszawa“ znajdujemy zajmujący artykuł prof. Witolda Jarkowskiego, który kreśli wrażenia swoje z odbytej balonem wycieczki „Z Petersburga do Wołogdy“. Jak zwykle ostatni ten numer „Lotnika i Automobilisty“ odznacza się wielką starannością o wygląd estetyczny.

Tygodnika rolniczego, organu Towarzystwa rolniczego krakowskiego, pod redakcyą Stanisława Jasińskiego, wyszedł numer 34 i zawiera następujące artykuły: „Uprawa pod oziminy“. „Racyonalne urządzenie chlewów dla świń rozpłodowych“. „O wyrobie win owocowych“, przez Józefa Drewko. „Wychodźtwo w Austryi i w Galicyi“, przez dra E. Grabowskiego. „Z praktyki gospodarskiej“. „Poradnik gospodarski“ i in.

Kursa wyższe dla kobiet im. Baranieckiego w Krakowie w roku szkolnym 1912/1913 a istnienia czterdziestym piątym, zostały na wniosek dyr. J. Rostafińskiego zreorganizowane. Odtąd tylko uczenice z ukończonym zakładem naukowym średnim mogą być uczenicami zwyczajnemi kursów i otrzymywać dyplom. Osoby, które zdadzą egzamin wstępny, stają się uczenicami nadzwyczajnemi, mogą otrzymywać świadectwa z rocznych egzaminów, jednak bez prawa do dyplomu Hospitantki są osoby zapisujące się na pewne przedmioty.

Szkoła główna będzie miała obecnie zamiast dwu — cztery wydziały. Wydział literacki trzechletni, na ostatnim roku (będzie otwarty w r. następnym) bedzie miał seminarya z literatury polskiej i historyi polskiej. Na wydziale przyrodniczym, ze zmianą lokalu, proponowane są na trzecim roku na przyszłość pracownie. Wydział nowy pracy społecznej jest dwuletni. ma ćwiczenia praktyczne z rachunkowości, rok trzeci ma być poświęcony praktyce poza zakładem. Wydział kobiecego gospodarstwa wiejskiego ma dwa lata teoryi Rok pierwszy poświęcony jest przygotowaniu przyrodniczemu, tak, że można wysłuchać przedmiotów gospodarczych w ciągu jednego roku. Praktyka i tu poza zakładem.

Szkoła sztuk pięknych dla kobiet została całkiem na nowo zorganizowana pod kierownictwem Piotra Stachiewicza. Ma oddział rysunków początkowych, drugi rysunków, trzeci malarstwa. Na oddziale drugim i trzecim jest w zimowych miesiącach codzień akt wieczorny dla uczenic wyższych kursów bezpłatny.

Szczegółowe informacye o zmianach zaszłych na kursach przesyła sekretarka kursów H Tomaszewska, ulica Karmelicka L. 32.

Ze świata kobiecego.

Koniec sezonu.

Dwa miesiące deszczów nie pozwoliły u nas rozwinąć się w całej pełni modzie. Wprawdzie dochodziły do nas wiadomości o nowych krojach mody, widziałyśmy wspaniałe illustracye, niestety! u nas nie wiele można było zastosować, gdyż sezon się nie udał. Depresya finansowa, przytem deszcze i słoty nie pozwalały ubierać się prawdziwie letnio. To też sezon jesienny zaczyna się w tym roku bardzo wcześnie. Zaczyna się zaś pod dobrym prognostykiem pięknej pogody. I o ile lato było szkaradne, o tyle jesień będzie prawdopodobne bardzo ładna i pogodna.

Zakończenie sezonu przynosi nam szereg kreacyi, które w dziedzinie mody czynią zwrot ku Wschodowi. Styl turecki i grecki, oba powiewne i bardzo twarzowe, zyskały uznanie i szerokie zastosowanie. Najbardziej modną suknią spacerową ranną na koniec sezonu jest pojedynczy kostyum z białego lub jasnego materyału, spodnica jest szeroka, a w pasie owija się dużą wschodnią szarfą, która z boku przewiązana jest w duży węzeł.

Po południu rozwijają w całym przepychu tiulów, koronek i gaz swe barwy kostyumy i suknie *lingerie*. Bogate zastosowanie znajdują pod koniec sezonu futra, zwłaszcza dlatego, że jesień, nie czekając zimy, bardzo obficie będzie się nimi posługiwała przy tworzeniu swoich kreacyi. Do tych kostyumów i sukien nosi się jako przejściowy kapelusz aksamitny z wielkimi egretami.

Wielki przewrót nastąpił w dziedzinie bucików. Tutaj, podobnie jak w fryzurach, zaznaczył się wybitny wpływ grecki. Siągnięto do starogreckich koturnów i zmodernizowawszy je, zastosowano w dziedzinie dzisiejszej mody. Pantofelki nosi się więc obecnie bardzo płytkie i nie zapinane, ale sznurowane długimi wstążkami, które na krzyż owijają nóżkę prawie do kolan. Pantofelki te zrobione są z lekkich materyi i bardzo ozdobne, a więc nie tylko wysadzane kamieniami sztucznymi... lub prawdziwymi, ale także malowane w kwiaty, desenie i t. p.

W kolorach nastąpiło pewne złagodzenie. Ostre, jaskrawe barwy ustąpiły miejsca łagodnym kolorom z palety pastelowej *rokoko*, tak, iż sezon jesienny stanowić będzie łagodne przejście do ciemnych kolorów zimowych.

Zbliża się także szybko koniec jeszcze jednej plagi mody, przeciwko której urzędowo nawet występowały władze, t. j. szpilek do kapeluszy. O nią toczyły się gorące spory, wzbroniono w końcu paniom ukazywać się w wagonach, tramwajach i t. p. ze szpilkami bez ochraniaczy, gdyż przybrały one tak wielkie rozmiary, że groziły oczom sąsiadów i współtowarzyszy podróży. — Obecnie wszystkim tym sprawom za jednym zamachem położy się kres. W popieraniu nowej mody przoduje przedewszystkiem Anglia, gdzie najpierw podjęto walkę ze szpilkami. Zastąpiono szpilki wstążkami, wiązanymi pod brodę. Obecnie, zwłaszcza na jesień i zimę, zdobędą sobie pierwszeństwo zamiast kapeluszy różne kapuzy, kapotki i t. p. starodawne fasony. Przypomną się znowu czasy z końca XVIII i początku XIX wieku, a nasze praprababki cieszyć się będą, widząc nasze panie, wzorujące swe mody na starodawnych obrazach i sztychach.

Nowa moda wprowadza przewiązkę z wstążki lub aksamitki. Cały szereg eleganckich i bardzo twarzowych pomysłów da się tu zastosować. Aksamitki używane są bądź czarne, bądź też w silnych kolorach purpurowych lub jasno niebieskim. Jeden koniec tej przepinki przyszywa się na stałe do kapelusza, drugi zaś umocowuje się przy pomocy zatrzasku. Najlepiej nadają się do noszenia takich podpinek kapelusze o miękkiej główce i dosyć szerokich brzegach, obecnie n. p. robionych z tiulu, kapelusze marynarskie z aksamitną główką i czarnymi riuszami tiulowymi, czerwone kapelusze aksamitne, przybrane kolorową wstążką.

Pojawiają się także fasony. które przypominają rozkwit czasów *Incroyables*, są one pośrednie między fasonami *Baby*, a... podobnymi do umbry na lampę. Wogóle w dziedzinie kapeluszy przewrót zapowiada się wielki i zasadniczy.

Na zakończenie kilka uwag o rzeczy z modą tylko luźnie związanej, ale w każdym razie do niej należącej. Jak wiadomo te, które modę tworzą, owe zgrabne midinetki i modystki wielkich magazynów są bardzo przesądne. Dlaczego? Nie wyjaśniono dotychczas. Faktem jeno jest, że pracując bezpośrednio w kuźni mody, stamtąd wynoszą ogromny zasób przesądów i zabobonów. „Revue des Traditions Populaires“ podaje szereg faktów z życia modystek paryskich.

Jeśli n. p. kapelusz nowy ma być przedstawiony klientce, a twórczyni arcydzieła mody nie jest pewna powodzenia swego pomysłu, wtedy przed udaniem się do salonu prób wszystkie towarzyszki z pracowni wiążą na końcu fartuszka węzełki i trzymając je ku górze, jak świece, odprowadzają kapelusz i twórczynię do drzwi pracowni; los wtedy został zaklęty i z pewnością kapelusz będzie się klientce podobał.

Jeśli młoda modystka nieszczęśliwym trafem, rano idąc do pracowni przejdzie pod drabiną, jest pewną, że w ciągu dnia pokłóci się ze swą pracodawczynią. Jeśli szwaczka weźmie do szycia złe miejsce materyi, to sąsiadka jej z prawej strony wyjdzie wnet za mąż.

Jeśli zaś przez nieuwagę zaszyje jakieś miejsce, które niema być zaszyte, n. p. rękaw, to wtedy komuś, pracującemu w danej pracowni, grozi nieszczęście. *W.*



Suknia spacerowa z jedwabiu w paski i aksamitu.



Kapelusz jesienny z białego i czarnego aksamitu.



Kostyum jesienny z szarej popeliny i *matelassé*.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

10

— Rozumiem cię, Ewangelino — rzekł serdecznie John-Harry. — Podjęłaś się szlachetnego zadania i ja cię od niego odciągać nie będę. Możesz pozostać w pałacu księcia, nie jako na podrzędnem stanowisku będąca płatna osoba, lecz bezinteresowna przyjaciółka i opiekunka małej księżniczki.

W tej samej chwili rozległ się donośny dzwonek telefonu. Wzywano go natychmiast do ambasady.

— Prędko! — rozkazał John-Harry wezwanym służącym. — Ubranie czarne, kapelusz. Za pięć minut muszę być gotów, Ewo. Poczekaj, proszę cię, w tym pokoju, ja na chwilę przejdę do gabinetu. Podwieziesz mnie automobilem do ambasady, który cię następnie może zawieźć do Neuilly.

Lecz przedtem jeszcze, upewniwszy się, że miss Ewangelina nie zwraca na niego uwagi, wsunął się pod namiot, otworzył skrzynkę stalową i wyjąwszy portret młodej kobiety, ucałował go ze czcią, szepcząc zdławionym przez wzruszenie głosem:

— Oh! moja księżniczko uwielbiona! Życie moje! Twoja córka! Naszą córkę mam ujrzeć wkrótce. Oby losy zrządziły, żebym się stać mógł jej pomocnym w życiu!

Jeszcze o Janie le Kerlack.

Jan le Kerlack, lub Piotr Sebonnier — bo skoro nosił te dwa nazwiska, będzie go można tak nazywać — nie opuścił Paryża, jak to był powiedział miss Ewangelinie. Miasto to było ukochane przez niego nad wszystkie dotąd poznane i skoro czuł się w niem bezpiecznym, a wytworzył sobie w niem egzystencyę dostatnią i pewną, nie miał potrzeby szukać po świecie innego schronienia.

A oprócz tego wstrzymywało go w Paryżu coś jeszcze innego. Oto Jan le Kerlack był zakochany i to w urzędniczce od telefonu, której twarzy dotąd jeszcze nigdy nie widział. Ale, że ten stan trwał już dosyć długo i męczył go niewymownie, Jan Kerlack powiedział sobie, że bez niej dalej już żyć nie chce i postanowił poznać ją, choćby zdaleka. Ale jak się wziąć do tego? Przedewszystkiem należało się dowiedzieć, w którem biurze pracuje jego nieznajoma. Adresowa książka telefoniczna przyszła mu z pomocą. Dowiedział się, że biuro jej mieści się przy ulicy Wagram. Ale w biurze tem pracowało paręset kobiet. Jakże więc ją pozna? Przyszła mu myśl, ażeby zatelefonować do niej, iż o godzinie ósmej wieczorem oczekiwać będzie naprzeciw biura. Ale dziewczyna mogła się obrazić, wyjść innemi drzwiami, lub przeczekać godzinę ósmą.

Przychodził więc codziennie na ulicę Wagram, w godzinach rannych, południowych i wieczornych i oczekiwał na wchodzące i wychodzące urzędniczki. Po kilku dniach znał go już cały personal, ale on nie znał nikogo.

Pewnego dnia doznał silnego wzruszenia i przeczucia, jakiego doznaje myśliwy lub ajent śledczy, gdy znajdzie się na dobrej drodze do swoich poszukiwań.

W chwili, gdy wychodził ze swojego mieszkania, zauważył na przeciwległym chodniku osobę lat 25, brunetkę przystojną, której spojrzenie uparcie było na niego skierowane. Co to być mogło? Przeszedł ulicę i spostrzegł, że młoda osoba ruszyła, jak gdyby oczekując na niego, właśnie w tę stronę, w którą iść zamierzał — w stronę ulicy Wagram i biur telefonicznych. Pospieszył za nią, lecz wkrótce znikła mu z oczu pośród tłumu pieszych i defilady ciągłej powozów. Jan Kerlack zaklął w duchu, lecz instynktownie udał się zwykłą drogą do ulicy Wagram. Przeczucie go nie zawiodło. Z bocznej ulicy wybiegła zdyszana nieznajoma i weszła do domu, gdzie mieściły się biura.

— Oh! gdyby to była ona! — szepnął Jan Kerlack.

Dnia tego miał kilkanaście listów do napisania kilka interesów do załatwienia. Nie zrobił nic z tego.

O godzinie szóstej zabrał się do swojej tualety. Włożył najlepsze ubranie, najładniejszą krawatkę, uczesał się starannie i zadzwonił do telefonu, prosząc o połączenia, których wcale nie potrzebował. Odpowiadał mu głos panny od telefonu dziwnie zmieniony i cichy.

— To ona! to napewno ona! — mruczał Jan le Kerlack, nieposiadając się z radości.

Nareszcie odważył się powiedzieć:

— Oczekiwać będę wieczorem przy wyjściu z biura!

— Ależ panie!

— Spokojnie! Będę miał płaszcz popielaty, twardy kapelusz, krawat fioletowy. Mam dla pani najwyższy szacunek, ale muszę z panią mówić!

— Ależ panie!...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Pani!

— Panie!

Głos Fernandy brzmiał rozmyślnem oburzeniem. Ale to było tylko chwilowe. Ten głos, ten kochany, upragniony głos odbierał jej przytomność umysłu! Co się stanie? Co jej powie ten człowiek? Fernanda była tak wzruszona, że zaledwie zdawała sobie sprawę, że źle zrobiła, pozwalając na zbliżenie się tego nieznajomego pana.

— Nie znam pana — odezwała się po chwili drżącym głosem — i błagam, zechciej mnie opuścić.

— Jesteśmy sami — odparł z szacunkiem Jan le Kerlack — towarzyszki pani już dawno się rozbiegły. Nie potrzebuje więc pani lękać się skompromitowania. I niech się pani mnie nie obawia. Przychodzę w najlepszych zamiarach.

Fernanda, milcząc, przyspieszała kroku.

— Tak, zapewne, rozumiem oburzenie pani. Ale gdyby pani chciała wierzyć moim słowom. Jestem starszym człowiekiem i nie wyglądam chyba na takiego, który lubi bawić się w przelotne miłostki. Głos pani przez telefon tak mnie wzruszył i zaraz wyobraziłem sobie panią taką, jaką jesteś. Dumną, surową i nieprzystępną. Bo tylko przez chwilę obawiałem się, że może jesteś podobną do tych lekkich istotek, które się w Paryżu znajdują na każdym kroku. Ale nie, pani jesteś taką, jaką sobie wymarzyłem! Niech pani mi powie coś o sobie! Czy ma pani rodzinę, matkę? Ja jestem bogaty! Choć stary już, nie kochałem nigdy i przez nikogo nie byłem kochany! Gdyby pani była wolna... to może...

Jan le Kerlack urwał wzruszony i ośmielił się delikatnie ująć rękę Fernandy. Nie usunęła jej. Po raz pierwszy mężczyzna mówił w ten sposób do niej, ofiarując jej szczęście swoje i życie! Lecz nad tem wrażeniem górowało jeszcze inne, silniejsze. Ten człowiek tak bardzo przypominał jej ojca! I przypominała sobie, jak dzieckiem jeszcze będąc, powtarzała, całując go: — Jak będę duża, to się ożenię z tatusiem! — I teraz marzenie to prawie się urzeczywistniało. Bo to był prawie jej ojciec, ten człowiek, który szedł teraz obok niej i mówił serdecznym, tak znanym jej głosem. Czy to możliwe, aby istnieć mogło takie podobieństwo!

— Panie — szepnęła wkońcu, przerywając siłą te wspomnienia — dochodzimy już do dworca Św. Łazarza. Muszę odjechać... i mogę spotkać tu znajome mi osoby.

— To pani nie mieszka w mojej dzielnicy — zapytał zdziwiony Kerlack. — Zdaje mi się, że panią kilkakrotnie widziałem na mojej ulicy... dziś nawet...

— Mam czasem sprawunki do załatwienia w tych stronach — szepnęła zmieszana Fernanda. — Ale teraz proszę, niech pan już odejdzie.

— Za żadną cenę nie chciałbym uczynić przykrości pani. Odchodzę więc i dziękuję, że raczyła mnie pani zrozumieć i wysłuchać. — Ale zobaczymy się wkrótce — prawda?

— O tak, panie, — zawołała Fernanda, rzucając Kerlackowi wymowne spojrzenie. Lecz nagle zbladła i gdyby nie pomoc jego, byłaby upadła na ziemię.

Kerlack zaniepokojony, otoczył ją ramieniem, zapytując o powód tej nagłej słabości.

— To nic, to nic — szepnęła Fernanda prostując się — od pewnego czasu cierpię na lekkie zawroty głowy. Muszę iść, bo spóźnię pociąg. Jeżeli pan już tak dobry, to proszę, dopomóż mi do wydostania się na te schody. Czuję się jeszcze trochę osłabioną.

Ale zaledwie uszła kilka kroków, gdy znowu bezsilna, zwiesiła się na ramieniu Kerlacka, który przemocą zaciągnął ją do kawiarni, znajdującej się naprzeciw. Umieścił Fernandę przy odosobnionym stoliku i zmusił ją do wypicia filiżanki gorącej herbaty.

— Mój Boże — rzekła młoda dziewczyna, przychodząc do przytomności — żeby mnie tu tylko kto nie zobaczył!

— Nikt na nas uwagi nie zwraca — zapewnił Kerlack. — No, jeszcze jedną filiżankę! Dolewam do niej parę kropel rumu. Nie uwierzy pani, jak mi przykro! Bo to może z mojego powodu! Napadłem poprostu na panią!

— Oh! proszę, niech pan sobie nie czyni wyrzutów. Od rana już czułam się nie dobrze! Ale w domu tak będą o mnie niespokojni! Spóźniłam pociąg.

— Pozostaje nam więc trochę czasu do następnego — rzekł uradowany Jan le Kerlack.

Fernanda uśmiechnęła się blado. Była tak wzruszona, że zaledwie odpowiadać mogła na pytania, któremi ją zasypywał.

Gdy nareszcie nadszedł czas do wsiadania do pociągu, wstała, prosząc, aby jej nie towarzyszył na peron, przez wzgląd na znajomych, których spotkać mogła — ale okazało się, że była tak jeszcze bezsilna, że raz jeszcze jego pomoc przyjąć była zmuszona.

Gdy żegnała się ze swoim nowym znajomym, czuła, że coś bardzo poważnego związało ich ze sobą na zawsze. To samo uczucie musiało owładnąć Kerlackiem, bo w chwili, gdy pociąg ruszał, nie zważając na okrzyki przestrogi urzędników kolejowych, wskoczył nagle do innego wagonu, nie będąc przez Fernandę widzianym. I towarzyszył jej zda-

leka aż do samego domu, tłumacząc się przed samym sobą z tego niedyskretnego kroku tem, że może znowu siły ją opuszczą, a nikogo życzliwego wtedy przy niej nie będzie.

I widział, jak Fernanda, wysiadłszy na stacyi, udała się ku miasteczku przez szereg krótkich uliczek i weszła do małego domu znajdującego się w ogrodzie. I zobaczył jeszcze przez oko oświetlonego pokoju, jak młoda dziewczyna opowiadała coś żywo starszej jakiejś osobie, całującej ją z tkliwością.

Zakład hydropatyczny.

Jakiś nadzwyczajny ruch i zamięszanie panowały od pewnego czasu w olbrzymim zakładzie hydropatycznym, znajdującym się w prześlicznem położeniu, wśród wzgórków, lasow i dolin, niedaleko Paryża. Zakład doktora Rastewicza wznosił się w rozległym parku, gdzie niegdyś znajdował się przepiękny zamek, zbudowany za czasów Ludwika XIV. Zamek przebudowano i przeznaczono na mieszkania dla dozorców, a obok wzniesiono wielki dom zdrowia, który dopiero pod rządami doktora Rastewicza uzyskał sławę i popularność.

Doktór był bogaty, a przytem odkrył w parku źródła mineralne, z których jedno ciepłe, służyło znakomicie pacyentom, potrzebującym kuracyi wodolecznicze.

Mówiono przytem, że doktor był zgodnym człowiekiem, a rodziny oddające chorych pod jego opiekę, nie miały powodów do uskarżania się na brak troskliwości z jego strony. Jeżeli jednak część pensyonaryuszów nie wyszła już nigdy poza kraty zakładu, nie było można o te nieszczęścia winy składać na doktora Rastewicza. Medycyna, choć postępuje tak żywo naprzód, nie umie jeszcze znaleźć lekarstwa na tę najstraszniejszą chorobę — szaleństwo. Nie zdołała nawet ustalić różnicy, istniejącej pomiędzy chorym a zdrowym mózgiem. Ale dzięki staraniom doktora Rastewicza, szaleństwo u jego chorych objawiało się w sposób łagodny, bo nie słyszano nigdy prawie krzyków, tak przykrych dla otaczających, a panowie i panie przechadzające się po parku, zachowywały się pozornie, jak osoby normalne. To też obecność w zakładzie furyata była uważaną jako rzecz niezwykła. A dozorcy dziwili się, że dyrektor odrazu nie załatwił się z chorym, jak to zwykł był czynić z innymi, powierzonymi jego pieczy, a tylko ciągle kazał przystosowywać coraz silniejsze prysznice i zimne wanny, nie dając spokoju i tak już wycieńczonemu biedakowi. Pomimo jednak tych zabiegów chory nie spał, jadał mało, chudł: skóra jego żółkła i choć siły opuszczały go widocznie, miewał częste napady ostrego szału.

Żaden jednak z tych napadów nie był tak silny, jak ostatni. Dotychczas człowiek zdradzał tylko gorączkową manię do malarstwa i wogóle sztuki. Wcielał się wyobraźnią w postacie Rubensa, Rafaela, Michała Anioła, walczył z jakiemiś urojonemi marami, wkońcu wpadał w szał, który zaledwie nie wiele uspokoić mógł kaftan bezpieczeństwa i silne natryski.

Dozorcy podsuwali nieśmiało przełożonemu myśl, że pochlebiając jego mani i przyznając mu słuszność we wszystkiem, dojdzie się do szybszych rezultatów w leczeniu, ale doktór Rastewicz utrzymywał, że poznał dobrze usposobienie swojego pacyenta i wie, że łagodnością popsułby wszystko.

Na kilka dni przed ostatnim atakiem był bardzo łagodny. Mówił tylko ciągle do siebie bez związku. A przybywszy przed chwilą do parku uśmiechał się nawet i z upodobaniem spoglądał na drzewa i zazielenione trawniki i spojrzenie jego dłużej się zatrzymało na wspaniałym wodotrysku, który wzbijał się wysoko kilkoma wężami. W tej chwili ogrodnik zajęty był zatrzymaniem wodotrysku na rozkaz doktora, który utrzymywał, że wielka ilość wody, którą zużywał codziennie, zmniejszała siłę tuszów potrzebnych mu w zakładzie.

I wtedy to nieszczęśliwy szaleniec uległ nagle atakowi. Rzucił się jednym skokiem na ogrodnika, krzycząc przeraźliwie, chcąc mu przeszkodzić w zatrzymaniu wodotrysku. Gdy ogrodnik odepchnął go od siebie, szaleniec pochwycił go za ramiona i rzucił na ziemię, wołając:

-- Puść wodę! nędzniku! puść wodę! Słyszysz! Czy ty nie wiesz, że nieszczęście sprowadzić możesz?

Na pół zduszony ogrodnik bronił się słabo, lecz dozorcy, do których dobiegł odgłos walki, nadbiegli na czas, by go wyrwać z rąk rozjuszonego waryata. Ten zdawał się uspakajać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Równanie.

Ułożył W. M. Wadowice.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy mieć tyle zgłosek, ile wskazuje mianownik. Z każdego należy wziąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu kraj w Europie, o którym wiele się mówiło w ostatnich czasach, w drugiem jego stolicę.

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{3} + \frac{c}{4} = x$$

$$\frac{m}{2} + \frac{n}{3} + \frac{p}{3} = y$$

Znaczenie wyrazów a) Imię żeńskie litewskie. b) Zwierzęta domowe. c) Inaczej darmojady. m) Wynik. n) Broń palna. p) Miasto we Włoszech.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. M. Wadowice

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

J a n i e ! P a n n a K a t a r z y n a N ś p i e w a s o l o a ż e b r a k Ł. b i e r z e d r ó b.

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. M. Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego muzyka.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Kraj w Afryce. 3. Prowincya austryacka. 4. Rzeczpospolita w Ameryce południowej. 5 Miasto w Dalmacyi. 6. Kraj w Afryce. 7. Dopływ Sanu. 8. Dopływ Wisły. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Bilety wizytowe.

Ułożył W. M. Wadowice.

Z liter na biletach utworzyć kraj i miejsce zamieszkania poszczególnych osób.

MARYA OLGA BICS

GASTON BIRALLI

ŁUCYA WENHOG

PIOTR E. GAIK

HALINA EWA SZPICYAN

Łamigłówka.

Ułożył W. M. Wadowice.

Z jakiego ptaka domowego przez odrzucenie jednej litery otrzymuje się ptaka leśnego?

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. M. Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą imię i nazwisko polskiego rzeźbiarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Prowincya Polska na północy. 3 Jedna ze stolic azyatyckich. 4. Znana jarzyna 5 Kraj, wchodzący w skład monarchii austryacko-węgierskiej. 6. Zwierzę drapieżne. 7. Rodzaj poezyi. 8. Nuta. 9. Spółgłoska.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Józefa Maciejowskiego:* **Panterka.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.